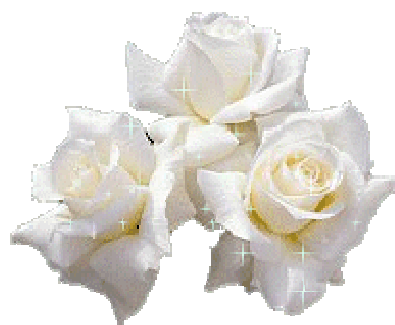




Josie Metcalfe



Niepamięć

Tytuł oryginału: Forgotten Pain

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Pani doktor... ?

Sally drzemała w swoim ulubionym fotelu, gdy zadzwonił telefon.

Natychmiast oprzytomniała.

- Doktor Webster... ? - Głos dobiegał z dużej odległości.

- Tak. Przepraszam. - Potrząsnęła głową, żeby odegnać resztki snu. -

Czy coś się stało?

- Wypadek w żwirowni w Abbey Meads oznajmiła kobieta.

- Ile osób i z której strony jest najlepszy dojazd? Spuściła stopy na podłogę, wolną ręką szukając butów,

które zrzuciła, zasiadając do późnego lunchu. Odchodząc od aparatu na odległość sznura, sięgnęła po torbę lekarską.

- Dwóch chłopaków na rowerach górskich przeleciało przez krawędź. Nie wykluczam obrażeń kręgosłupa. Musi pani minąć park i skierować się ku wsi. Po lewej stronie jest drogowskaz do Abbey Meads, a tuż za nim, w prawo, droga do żwirowni.

- Zawiadomiła pani pogotowie? - Sally poczuła, jak w jej organizmie szybko wzrasta poziom adrenaliny.

- Karetka jest już w drodze, ale musi przejechać przez całe miasto.

Pani jest najbliżej.

- Już jadę.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła przeciskać się między pudłami poustawianymi na podłodze, by dotrzeć do swojej kurtki.

Już miała zamknąć za sobą drzwi, kiedy dostrzegła psa, który ruszył za nią.

- Chodź, jeśli chcesz.

Drzwi trzasnęły tuż za psim ogonem. Po chwili włączyła silnik i zapinała pasy.

- Leżeć, Amber! - rozkazała.

Pies posłusznie ułożył się na podłodze przed fotelem pasażera.

Zerknęła na plan okolicy rozłożony na sąsiednim siedzeniu i włączyła zielony sygnał świetlny, niedawno zainstalowany na dachu.

Było to jej pierwsze wezwanie, od kiedy zgłosiła się do pracy w Abbey Meads. Musi się pokazać z najlepszej strony, udowodnić, choćby tylko samej sobie, że dokonała słusznego wyboru....

Instrukcja, jaką otrzymała przez telefon, okazała się wystarczająca. Bez trudu odnalazła polną drogę, biegnącą łukiem wzdłuż krawędzi wyrobiska.

- Gdzie to jest? Gdzie oni są? - powtarzała.

Starła się jechać jak najszybciej, mimo że nie знаła terenu.

- Cholera!

Zahamowała raptownie na widok młodego człowieka, który nagle wyrósł przed samochodem i wymachiwał rękami jak opętany.

Opuściła elektrycznie otwieraną szybę i wysunęła głowę.

- Czy pan oszalał?!

- Tam! - Pokazywał jej ledwie widoczną ścieżkę. - Oni są tam!

Szybko!

Zniknął równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Sally ostrożnie wjechała na trakt. Stopniowo zwiększała prędkość i omijając wykroty, zjeżdżała na dno wyrobiska. Z daleka dostrzegła grupkę ludzi pochylonych nad ofiarami wypadku. Ujrzała pogruchotane, jaskrawo pomalowane rowery: nieme świadectwo tragicznego wydarzenia.

- Zostań! - rzuciła w stronę psa, a sama wyskoczyła z samochodu. Miała na sobie kurtkę z napisem "Lekarz" na plecach, a w ręce torbę z medykamentami.

Chłopcy nie stracili przytomności, ale jeden z nich leżał na ziemi bardzo blady i podejrzanie spokojny. Jego mocno pocięty kask był wymownym świadectwem powagi wypadku.

Uklękła ostrożnie na wilgotnej i kamienistej ziemi. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że sama sobie z nim nie poradzi. Konieczna będzie jeszcze jedna para doświadczonych rąk, aby założyć kołnierz ortopedyczny i uregulować oddech.

Wbrew jej oczekiwaniom okazało się, że chłopak miał całkiem niezłe tętno.

Pochylając się nad drugą ofiarą, usłyszała odgłos syreny. Miała nadzieję, że zdoła przygotować chłopaka do drogi, zanim nadjedzie pomoc.

- Jak masz na imię? - zapytała rudego młodzieńca, który stał nad nią.

- Adrian - odparł i zaczerwienił się.

- Posłuchaj... - Kiedyś będzie z uśmiechem wspominać jego zmieszanie, teraz... - Musisz mi pomóc. - Rudy dumnie wyprężył pierś. - Weź jeszcze kogoś i przynieście mi z samochodu dwie torby, które są za fotelem kierowcy. Tylko ostrożnie...

Adrian pociągnął za sobą najbliższego stojącego kolegę i razem rzucili się do jej auta.

Szarpnęli drzwi, lecz znieruchomieli, słysząc ostrzegawcze warczenie psa.

- Spokój, Amber! - krzyknęła Sally, nawet nie podnosząc głowy. Ledwie stwierdziła złamanie nogi, a chłopcy już stawiali torby obok niej.

Wyjmowała instrumenty, czując na sobie ich spojrzenia pełne niepokoju o los towarzyszy. Dostrzegła w tych młodych twarzach tyle troski, że nie miała serca kazać im się teraz odsunąć.

- Który z was umie udzielić pierwszej pomocy? Dwóch podniosło do góry ręce, jak w szkole.

- To dobrze. Karetka już jedzie. Trzeba przygotować ich do podróży do szpitala. Ten... - położyła rękę na ramieniu jednej z ofiar wypadku.

- Jimmy - pospieszył z wyjaśnieniem Adrian.

- Dziękuję. Jimmy ma złamaną nogę. Trzeba mu unieruchomić obie kończyny...

- Ja to potrafię. Mieliliśmy szkolenie - wtrącił jeden z ochotników.

- Świetnie - pochwaliła go Sally. - Nie spiesz się. Staraj się nie zmieniać jego pozycji. Powiedz, jak będziesz potrzebował pomocy.

Zajęła się drugim chłopcem. Powtarzała w myślach to, co mówił instruktor: drożność, oddychanie i krążenie.

- Co się stało Wayne'owi? - dopytywał się Adrian.

- Doznał obrażeń twarzy. Podejrzewam też, że ma uszkodzony kręgosłup. - Ostrożnie ujęła dłoń leżącego. - Wayne, słyszysz mnie?

W odpowiedzi usłyszała słaby jęk. Lekko wzmocniła uścisk dłoni.

- Dobrze... - zachęcała. - Możesz ścisnąć moje palce? - W myślach mierzyła jego oddech i puls. W końcu doczekała się spodziewanej reakcji.
- Świetnie, a druga ręka?

Przylepiając plastrem igłę kroplówki na wierzchu dłoni chłopca, nagle spostrzegła przed sobą dwie pary męskich butów i ciemnogrnatowe nogawki.

- Co mamy robić, pani doktor? - Usłyszała zdyszany, męski głos. - Musieliśmy zaparkować na górze.

Podniosła wzrok na wysokiego blondyna o bystrych, niebieskich oczach. Odstawił nosze.

Sprawnie przełożył Jimmy'ego i już po chwili, wraz z jego kolegami, transportował go do karetki.

Drugi pielęgniarz klęczał przy boku Wayne'a.

- Trzeba mu założyć kołnierz usztywniający - oświadczył autorytatywnym tonem.

Sally nie mogła oderwać wzroku od jego brązowych oczu. Jedynym świadectwem pospiesznego marszu na dno wyrobiska były jego rozwiane ciemne włosy. Dopiero po chwili dotarł do niej sens wypowiedzi mężczyzny.

- Oczywiście.... - Urwała, pojmując, że nie warto przekonywać go, iż taki właśnie był jej zamiar, ponieważ mężczyzna już wyjął kołnierz ze swojej torby.

- Proszę podnieść jego głowę, nie dotykając żuchwy. Krwawi z nosa, co wyklucza intubację nosowo-gardłową, przełykowa także nie wchodzi w rachubę, ponieważ jest półprzytomny...

Sally stłumiła niechęć w obliczu takiej pewności siebie, przekonując się, że w tej chwili najważniejszy jest pacjent, a nie jej godność zawodowa.

Obserwowała mężczyznę bardzo uważnie, lecz nie mogła się przychylić do niczego, nawet do sposobu, w jaki zamierzał przetransportować chłopca do szpitala.

- Zawieziemy go pani autem - oznajmił, nie podnosząc głowy znad noszy. - Tak będzie szybciej. Poza tym, dzięki napędowi na cztery koła, pani samochód mniej trzęsie.

Z trudem hamowała wściekłość, lecz wobec licznego audytorium poczuła się bezradna. Przysięgała sobie, że gdy tylko pacjent dotrze do szpitala.

Nosze były już zabezpieczone w tyle samochodu i Sally ustawiała torby za fotelem kierowcy, gdy nagle usłyszała ostrzegawcze warknięcie psa. Zerknęła w stronę siedzenia pasażera i ujrzała niezwykłą scenę: Amber, jej własny pies, obwąchuje szczupłą, męską dłoń, a po chwili mężczyzna wsuwa się do samochodu.

- Co to ma znaczyć?! - zachnęła się, oburzona jego nagłym wtargnięciem na jej terytorium.

- Muszę obserwować pacjenta, chyba że woli pani, żebyś biegł za samochodem. - Wsiadł i ostrożnie ustawił stopy obok psa, przemawiając do niego zupełnie innym tonem niż do niej.

- W porządku. -Zawstydziała się własnej głupoty. Dlaczego on ją tak bardzo irytuje?

Ostatni zawód sercowy sprawił, że od jakiegoś czasu nie darzyła wielką sympatią męskiej połowy ludzkości, choć dotychczas w sytuacjach

zawodowych udawało się jej poskramiać tę niechęć. Dopiero jego obecność... A może owo napięcie między nimi należy interpretować inaczej?

Skupiła się na prowadzeniu samochodu wyboistą, zwirowaną drogą.

Kątem oka zauważyła, że pasażer jest zwrócony w jej stronę.

Spodziewała się jakiejś nieprzychylnej uwagi na temat kobiet za kierownicą. Milczał jednak, więc zerknęła za siebie i spostrzegła, że to nie ona, lecz chłopiec jest obiektem jego zainteresowania.

Na górze okazało się, że karetka już jest w drodze do szpitala, więc Sally wyjechała na szosę i pomknęła w kierunku miasta.

Jej pasażer jedną ręką wpisywał swoje obserwacje do formularza, którego kopia będzie początkiem karty chorobowej hospitalizowanego pacjenta.

- Stop!

Bezwiednie nacisnęła na pedał hamulca.

- Co?! Dlaczego?! - Ujrzała jedynie jego plecy, ponieważ już zdążył wyskoczyć z samochodu i otwierał tylne drzwi.

Kiedy znalazła się przy nim, pochylał się nad nieprzytomnym chłopcem, szukając chrząstki pierścieniowatej.

- Co... ?-zaczęła.

- Bezdech. Albo obrzmienie krtani, albo ucisk na tchawicę. -

Szybkim ruchem sięgnął do torby, skąd wyjął dobrze jej znane instrumenty.

Zanim zorientowała się w sytuacji, błyskawicznie wykonał nacięcie i wprawnie wprowadził rurkę do tchawicy.

- Pielęgniarsz nie ma prawa wykonywać tego zabiegu! - rzuciła.

- Żyje, prawda? - Unieruchomił rurkę plastrem i wyjął zużyte ostrze skalpela.

- Nie o to chodzi. Pielęgniarki nie mają prawa wykonywać zabiegów chirurgicznych. To jest wykroczenie...

- Zrobiłem, co było konieczne - przerwał jej stanowczo.

- Tak samo jak dowiezienie go do szpitala - dodał znaczącym tonem.

Wprawnymi ruchami badał stan chłopca.

Tłumiąc złość, usiadła z powrotem za kierownicą. Spoglądając w lusterko, widziała, jak sadowił się wygodniej, aby przez resztę drogi czuwać przy pacjencie.

Ruszając, włączyła sygnały alarmowe, po czym podała swoje zamiary przez radio.

- Gdzie pana uczono wykonywać ten zabieg? - Jej pytanie zabrzmiało dziwnie głośno pomimo wycia syreny.

Zerknęła w lusterko w tej samej chwili, gdy jego twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie.

- Oglądam telewizję.

Taka drwiąca odpowiedź wymagała wyjaśnień, na które Sally już niestety nie miała czasu, ponieważ właśnie dojechali do szpitala.

Załoga karetki, którą przywieziono Jimmy'ego, zdążyła uprzedzić personel, więc informacja Sally na temat czasu przybycia na miejsce okazała się niepotrzebna.

Ledwie zahamowała przed wejściem, a już pomocne ramiona wyjmowały nosze. Wayne błyskawicznie zniknął we wnętrzu szpitala, Sally zatem nie pozostawało nic innego, jak usunąć samochód przed wejścia.

Kiedy wróciła, pielęgniarz kończył sprawozdanie z akcji, więc postanowiła zaczekać na wyniki prześwietlenia.

- Melanie Scott - przedstawiła się siwowłosa kobieta. - Jestem jednym z nowych konsultantów.

- Sally Webster. - Uścisnęła wyciągniętą dłoń. — Miło mi cię poznać. Słyszałam o tobie, kiedy przyszłam tu niedawno na rozmowę.

- Świetna robota. - Melanie wskazała na Wayne'a, po czym uśmiechnęła się do milczącego pielęgniarza. - Przykładowa... Mam nadzieję, że się pan dobrze przyjrzał.

Zapanowała martwa cisza. Sally walczyła z własnym sumieniem, wpatrując się w brązowe oczy mężczyzny.

Powinna złożyć raport, że zabieg nie był wykonany legalnie, ale...

Jego błagalne spojrzenie sprawiło, że nie była w stanie wymówić słów, które bez wątpienia pogrzebałyby na zawsze jego karierę.

Nikt nie weźmie pod uwagę, że jego natychmiastowe działanie prawdopodobnie uratowało chłopcu życie. Liczyłby się jedynie fakt, że nie posiadając uprawnień, wykonał tracheotomię.

Odsunęła ponure myśli i zasłaniając sobą pielęgniarza, zwróciła się do Melanie:

- Nie było innego wyjścia. Miejmy nadzieję, że podobna sytuacja się nie powtórzy. To nic przyjemnego na takim odludziu...

Czekając na zdjęcia rentgenowskie, wymieniały opinie na temat tej miejscowości, od czasu do czasu spoglądając na chłopca, którego przygotowywano do przewiezienia na salę operacyjną.

Sally wydawało się, że czuje na sobie czyjeś badawcze spojrzenie, lecz gdy ukradkiem zerknęła przez ramię, spodziewając się ujrzeć

przystojnego pielęgniarza, spotkało ją niemiłe rozczarowanie. W pobliżu nie było nikogo.

Wkrótce pożegnały się i Sally ruszyła w stronę automatycznych drzwi. Już na dworze zaczerpnęła głęboko powietrza i wyprostowała zmęczone plecy.

Poprzedniego dnia pokonała długą drogę, przewożąc nowym samochodem resztę swego dobytku. Dotarła do domu dopiero po zmroku.

Poranek upłynął jej na rozpakowywaniu kartonów i przygotowaniach do podjęcia nowych obowiązków. Nie spodziewała się, że pierwsze wezwanie przyjdzie tak szybko.

Jej samochód stał na parkingu dla personelu, za rogiem budynku. Zanim doszła do auta, uświadomiła sobie, że w pośpiechu chyba go nie zamknęła.

W otwartych drzwiach od strony pasażera dostrzegła parę męskich nóg w granatowych spodniach.

Uświadomiwszy sobie, że to jej niedawny pasażer, zatrzymała się, pełna sprzecznych uczuć.

Bezlitośnie stłumiła uczucie radości, że nie rozplątał się po wyjściu ze szpitala. Postanowiła jednocześnie, że nie podda się jego urokowi, dopóki nie rozwikła jego zagadki.

Zbliżała się niemal bezszelestnie, dodatkowo poirytowana widokiem Amber, która z uwielbieniem wpatrywała się w twarz mężczyzny. Rozanielona pozwalała mu się głaskać i drapać za uchem.

- Co pan tu robi?

Zmęczenie sprawiło, że z jej gardła wydobył się nieprzyjemny skrzek, niwecząc powagę pytania.

- Czekam na panią - oświadczył roztropnie, kolejny raz wprawiając ją w zakłopotanie.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - Wsiadł i wsunął dłonie do tylnych kieszeni spodni. - To najpewniejszy sposób, żeby się z panią nie rozminąć. Poza tym dotrzymałem towarzystwa pani wiernemu przyjacielowi.

- Po co pan na mnie czekał?

Otoczyła się ramionami w obronnym geście. Wiedziała, że nie wygląda to zbyt mądrze, ale poczuła się przytłoczona jego wzrostem. Sama była raczej wysoka, lecz szczupła budowa ciała nie szła w parze z siłą i wytrzymałością, nad którymi musiała ciężko pracować, aby podołać wymaganiom nowej pracy.

Przewyższał ją zaledwie o kilka centymetrów, ale był dosyć potężnie zbudowany.

- Nie miałem okazji się przedstawić. - Wyciągnął dłoń. - Luke Nemo.

Patrzyła na tę silną, opaloną dłoń, jakby nie wiedziała, co z nią zrobić. Podnosząc wzrok na jego twarz, niepewnym gestem podała mu rękę. Ten pierwszy fizyczny kontakt sprawił, że na moment zabrakło jej tchu.

Odgarnął z czoła rozwiane wiatrem włosy, odsłaniając długą zygzakowatą bliznę, która przecinała skroń i niknęła pod linią włosów.

Nie mogła oderwać oczu od tego widoku.

- Co się stało? - Ze współczuciem uścisnęła jego dłoń.

- Wypadek... - Wzruszył ramionami i cofnął rękę, jakby odrzucając jej współczucie.

- To oczywiste. Ale jaki? Znowu wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - rzucił.

- Jak to?

Rozejrzał się dokoła, po czym lekceważąco machnął ręką i spojrział na zegarek.

- Nie chcę o tym rozmawiać w miejscu, gdzie lada moment ktoś może się zjawić.

- Rozumiem. - Gestem zaprosiła go do samochodu. - Jestem już po dyżurze. Podwiozę pana i zapraszam na kawę.

Zaskoczyły ją jej własne słowa. Jeszcze miesiąc temu zachowywałaby się całkiem inaczej.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - zapytała wyzywająco, przeszywając go spojrzeniem szaroniebieskich oczu.

Jednocześnie upomniała samą siebie, że już nie jest tą samą Sally Webster co dawniej. Nagle poczuła, że byłaby bardzo zadowolona, gdyby przyjął jej zaproszenie.

Przeżyła chwilę zwątpienia, widząc, że Luke kręci głową, lecz odetchnęła z ulgą, gdy podszedł do samochodu.

- Myślę, że powinienem się zrewanżować za wyratowanie mnie z opresji. - Spojrzał na budynek szpitala, po czym zatrzasnął drzwi.

- Bez łaski! - burknęła pod nosem, okrążając samochód.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu i Sally zaczęła żałować swojej decyzji. Szukając tematu do rozmowy, zerknęła na niego kątem oka.

Można by pomyśleć, że jest bardzo opanowany. Wiedziała już jednak, że pod tą maską spokoju kryje się ogromne napięcie. Chciała go dotknąć, żeby zobaczyć, co się stanie...

Szalony pomysł. Nie przyjechała tutaj po to, żeby znowu się angażować. Na dodatek jest tutaj dopiero jedną dobę.

To nieważne, że Luke Nemo jest bardzo pociągający. Przecież obiecała sobie, że przez jakiś czas nie będzie sobie zawracać głowy mężczyznami.

Przyjechała tutaj, żeby pracować.

Ten wewnętrzny monolog okazał się skuteczny. Przez resztę podróży odpowiadała na jego pytania dotyczące wyposażenia samochodu.

- Fantastyczna firma. Powiedziałam im jedynie, co będzie mi potrzebne, i o resztę nie musiałam się martwić.

- Świetne! - Luke podziwiał zagospodarowanie tyłu samochodu. - Musiało sporo kosztować.

- Doszłam do wniosku, że w coś takiego warto zainwestować oszczędności. - Powiedziała to swobodnym tonem, odsuwając od siebie przykre wspomnienie okoliczności, które zmusiły ją do oszczędzania.

- Proszę wypuścić psa. Pobiega po ogródku i wróci kuchennymi drzwiami - wyjaśniła i sięgnęła po torbę, po czym obeszła auto wokół, sprawdzając wszystkie zamki.

Wkrótce na stole pojawił się dzbanek z parującą kawą, a Amber wędrowała po całej kuchni, wylizawszy do czysta swoją miskę.

- Proszę. Cukier?

Luke przestał wpatrywać się w pusty ogródek.

- Z mlekiem?

- Rano piję czarną, żeby się rozbudzić. Potem lubię rozcieńczyć kofeinę odrobiną mleka.

- Kłopot polega na tym, że nigdy nie wiadomo, czy to wezwanie będzie zakończeniem tego dnia, czy początkiem następnego! Ten problem zazwyczaj sam się rozwiązuje. Po prostu rzadko udaje się wypić kawę do końca.

Usiadła przy stole, oparła łokcie na blacie, i oburącz objęła kubek.

Ostatnie promienie słońca igrały w jego włosach, prowokując Sally, by przyjrzała się bliźnie na jego skroni.

- Skąd ta blizna? - spytała ponownie.

Luke kurczowo zacisnął dłonie na kubku - tak mocno, że Sally zaniepokoiła się o los naczynia.

Odpowiedział dopiero po chwili, gdy jego palce odzyskały normalny kolor.

- Podobno - mówił zduszonym głosem - podobno jestem ofiarą poważnego wypadku samochodowego. Jak to często bywa w takich okolicznościach, nic nie pamiętam...

- Nawet uderzenia? Potrząsnął głową.

- Absolutnie nic.

- Czy lekarze są zdania, że kiedyś odzyska pan pamięć? Kiedy to się stało?

- Mniej więcej cztery lata temu, z dokładnością do kilku tygodni - odparł, wzruszając ramionami.

- Co powiedzieli inni kierowcy? Świadkowie wypadku? Ktoś to przecież widział.

- Nikt nawet nie potrafił powiedzieć, czy znajdowałem się wtedy w jednym z samochodów, czy stałem w grupie ludzi, na którą najechał samochód.

- Nikt pana nie rozpoznał? Nikt nie znał nazwiska? Przecież chyba zainteresowała się tym policja? Nie pokazywano pańskiego zdjęcia w gazetach albo w telewizji?

- Ba! - parsknął. - Nawet rodzina mnie nie rozpoznała, kiedy lekarze już mnie pozszywali. Może nikt nie chciał mnie rozpoznać...

Widać było, że niełatwo mu o tym mówić.

- Miał pan portfel? Powinny być w nim jakieś dane personalne. - Urwała, ponieważ Luke zaprzeczył. - Nic? Chociaż nazwisko... Mogli przecież posłużyć się nazwiskiem, żeby pana zidentyfikować.

Uśmiechnął się, wysoko unosząc brwi. - Proszę się zastanowić nad moim nazwiskiem, pani doktor. Zna pani łacinę, prawda? Doznała olśnienia. - Nemo- Szepnęła - czyli „nikt”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pochylona nad stertą papierów, masowała zboląły kark. Kątem oka zauważyła, że jeszcze nie spakowała stetoskopu i aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Jestem wykończona, jak w czasie studiów - jęknęła, rozprostowując plecy.

Ułożyła starannie plik kart pacjentów, które nareszcie wpisała do komputera.

Przez cały tydzień nie miała ani chwili spokoju, starając się pogodzić pracę w nowym miejscu z urządzaniem mieszkania. Sporo energii kosztowało ją odsuwanie natarczywych myśli o Luke'u Nemo.

- Już po ósmej - mruknęła, wstając od biurka. Poczowała skurcz żołądka, który przypomniiał jej, że od rana nic nie jadła.

Poranny dyżur przeciągnął się aż do przyjęć w poradni dla kobiet w ciąży, a wizyty domowe zajęły resztę czasu, jaki dzielił ją od dyżuru popołudniowego.

Wśród pacjentów znalazły się zarówno chore dzieci, dwóch mężczyzn ze skaleczeniami, jak i czterdziestosześcioletnia kobieta, która wykryła guza w piersi w dwa lata po operacji. Musiała także pobrać krew od bardzo bladego, nerwowego dwudziestosiedmiolatka z ogromnym siniakiem. Bardzo broniła się przed tą myślą, lecz zarówno jej obserwacje, jak i symptomy opisane przez pacjenta wskazywały niestety na początek białaczki.

Przystanąła przy rejestracji, by zerknąć na wykaz dyżurów, po czym przełączyła telefon do dyżurki. Nie miała jeszcze sposobności poznać Garetha Evansa, ponieważ przyjmował o innych porach, ale od rejestratorki słyszała o nim sporo dobrego.

Nikt nie wspominał natomiast ó doktorze Levenhamie, który niedawno odszedł na emeryturę. Jakby wszyscy mieli mu coś za złe...

Dokładnie zamknęła drzwi. Wiedziała wprawdzie, że wszystkie leki znajdują się w oddzielnym, aptecznym pomieszczeniu, ale wolała nie kusić złego.

Światło ulicznych latarni odbijało się od chromowanych części jej samochodu. Gdy ruszyła w stronę parkingu, od auta oderwała się sylwetka mężczyzny.

Znieruchomiała, zaciskając pięść na pęku kluczy.

Pogrążona w mroku postać zbliżała się bezszelestnie.

- Co się stało?

O mało nie zemdląca, słysząc znajomy niski głos. Klucze wypadły jej z ręki. Aż dziw, że nie upuściła swojej bezcennej torby.

- Jak tak można?! Przez ciebie o mało nie umarłam ze strachu! - wykrztusiła. Zorientowała się, nieco za późno, że zwróciła się do niego po imieniu. - Przed chwilą myślałam, że...

Zdenerwowana, potrząsnęła głową i kucnęła, sięgając drżącą ręką po klucze.

- Strasznie przepraszam. - Ubiegł ją. - Myślałem, że wiesz, że to ja. - Pomógł jej wstać.

- Skąd mogłam wiedzieć? - parsknęła. - Nie mam noktowizorów. Jest już całkiem ciemno.

- Szkoda. - Wyczuła wesołą nutę w jego głosie. - Byłem przekonany, że wywarłem na tobie niezatarte wrażenie. Moje ego otrzymało poważny cios.

- Ha! - Nie znalazła lepszej odpowiedzi. Raźno ruszyła do samochodu, zapominając, że Luke trzyma ją pod rękę.

- Pozwól. - Otworzył drzwi od strony pasażera. Światło lampki wyrwało Amber z głębokiego snu.

Sally już miała wsiąść, gdy zastygła w pół gestu.

- Co ja robię?! - Odwróciła się do Luke'a. - Po tej stronie nie ma kierownicy. - Urwała, widząc, że Luke się uśmiecha. To nie był tamten grymas, lecz ciepły, zatroskany uśmiech.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował. - Jesteś zmęczona. - Delikatnie pogłaskał ją po policzku.

Już kilka dni temu zauważyła te cienie pod oczami. Wiedziała też, że jej elegancko upięte rano włosy są teraz w nieładzie. Jak prawdziwa kobieta, była zła, że nie wygląda najlepiej i że on to zauważył. Po chwili jednak dotarła do niej tkliwość jego gestu i po raz pierwszy od dwóch miesięcy poczuła, że ktoś się o nią troszczy.

- Jak wrócisz do siebie? - Zrezygnowana wsiadała do samochodu.

- Przejdę się. - Podał jej pas i zamknął drzwi.

- To prawie trzy kilometry! Zanosz się na deszcz... -Umilkła, słysząc jego donośny śmiech.

- Nareszcie! Wiedziałem, że o mnie myślisz! - powiedział i włączył silnik.

- Luke... - Przykryła ręką jego dłoń na drążku zmiany biegów, chcąc go powstrzymać. - Nikomu dobrze nie robi spacer w deszczu, szczególnie o tej porze roku.

- Ale szybki marsz i gorący prysznic na pewno mi nie zaszkodzi. - Parodiował jej ton. - Powiem ci jeszcze, że mieszkam blisko ciebie, tuż za rogiem.

- Łajdak! - Uderzyła go pięścią w ramię. - Chciałeś się podwieźć! - Ta sprzeczka podniosła ją na duchu. - W takim razie - usadowiła się wygodnie w fotelu - do domu, Jamesie! - rozkazała władcym tonem.

- Tak jest, łaskawa pani. - Dotknął palcami daszka nie istniejącej czapki. - Natychmiast, jaśnie pani.

Obserwowała, jak Luke świetnie sobie radzi z nie znanym mu samochodem.

- Zakładam, że masz prawo jazdy - rzuciła w mrok od niechcenia i w tym samym momencie zdała sobie sprawę z okrucieństwa tych słów.

- Luke Nemo ma prawo jazdy - odparł. - Brytyjskie, europejskie i międzynarodowe.

Powiedział to tak wyniosłym tonem, że poczuła się zwolniona z obowiązku przeprosin.

Jechali dalej w milczeniu. Zdziwiła się, że Luke nie wysiada, gdy już zatrzymali się na podjeździe. Siedział z rękami na kierownicy, zapatrzony w ciemność za szybą.

- Luke? Odwrócił głowę.

- Przepraszam...

- Przepraszam...

Odezwali, się jednocześnie i każde z nich wykonało zapraszający gest, by to drugie kontynuowało.

- Przepraszam, że tak nieprzyjemnie zareagowałem zaczął Luke. -
Niesłusznie...

- To nie twoja wina. To ja przepraszamy że wyrwałam się z takim głupim pytaniem.

- Wcale nie było takie głupie. Każdy by o to zapytał, gdyby ktoś obcy prowadził jego samochód.

- Ale nie kierowcę karetki. Powinnam pamiętać, że masz wszelkie kwalifikacje.

Znowu zapanowała głęboka cisza.

- Wstąpisz na kawę? - zaproponowała nieśmiało. - Bez trucizny. -
Czekała na jego odpowiedź z zapartym tchem.

- Dziękuję.

- Chodźmy, Amber. - Odwróciła się, żeby nie zauważył, jak bardzo jest zadowolona.

Otworzyła drzwi do domu. Mimo że stan jej mieszkania pozostawiał jeszcze wiele do życzenia oraz pomimo niewyspania obawiała się samotności, która czekała na nią za tym progiem.

Jest wprawdzie Amber, cudowna towarzyszka, ale... Ale to o wiele za mało.

- Brakuje tu zieleni.

Jego głos wyrwał ją z zadumy.

- Zieleni?

- Czegoś zielonego, co rośnie. Rośliny bardzo by ożywiły ten pokój.

- Nie mam dla nich czasu. Zmarnieją w ciągu paru tygodni...

- Trzeba wybrać odpowiednie gatunki - ciągnął z uporem. - Są przecież takie, które mają bardzo małe wymagania, a nawet wolą, żeby się nimi nie zajmować.

- Masz na myśli plastikowe? - zażartowała. - Byłabym pierwszym człowiekiem, który wyhodował mszyce na plastikowej róży.

Jego serdeczny śmiech sprawił, że poczuła się jakoś... bezpiecznie.

- Mogę się tym zająć?

- Hm... - Zmarszczyła nos. - Pod warunkiem, że będziesz je ratował, jak tylko zaczną marnieć. Moje kwalifikacje ograniczają się do ratowania istot ludzkich.

Zaproponowała mu drugi kubek kawy, nie chcąc rozstawać się z nim o tak wczesnej porze.

- Jak ci się tu pracuje? Czujesz się już jak u siebie? - zapytał.

- Tak i nie. - W skupieniu analizowała wrażenia z minionego tygodnia, po czym spojrzała na niego. — Okolica podoba mi się bardzo, ludzie są przychylnie ale... - Westchnęła. - Ciągle mam wrażenie, że o coś mają do mnie żal.

- Przejąłeś pacjentów doktora Levenhama?

- Tak. Wycofał się niedawno i szukano kogoś na jego miejsce.

- Czy ktoś ci powiedział, dlaczego Levenham się wycofał?

- Podobno z powodów zdrowotnych. Luke uśmiechnął się niewesoło.

- Idealne wyjaśnienie dla miłośników eufemizmów. Pani Levenham umarła jakieś pół roku temu. Na raka. Trzymał się dzielnie do jej śmierci, ale potem przyłgął do butelki. Na dobre. Nie mógł się pogodzić z tym, że nie potrafił uratować własnej żony.

Sally pokiwała głową.

- Ból i poczucie winy bywają tragiczne w skutkach. I wymykają się logice.

Milczeli pogrążeni we własnych myślach. Sally nie mogła się nadziwić, że jej pierwszym znajomym stał się ten zamknięty w sobie, szorstki pielęgniarz, który nieomal wyprowadził ją z równowagi podczas pierwszego spotkania.

- Co sprawiło, że zostałeś pielęgniarzem? - Nagle zorientowała się, jak mało wie o tym człowieku.

Natarczywy dzwonek telefonu nie pozwolił mu zaspokoić jej ciekawości.

- Doktor Webster, słucham.

- Pomoc drogowa - przedstawił się rozmówca. - Mamy kierowcę uwięzionego w samochodzie.

Kątem oka Sally zobaczyła, że Luke prostuje się, słuchając, jak ona powtarza informacje na temat miejsca wypadku. Kiedy odłożyła słuchawkę, w jednej ręce trzymał ich kurtki, a w drugiej kluczyki.

- Bierz torbę, ja poprowadzę - oznajmił stanowczo już przy drzwiach.

- Zaraz! - Stała w progu, przepuszczając przed sobą psa. - Kto powiedział, że ze mną jedziesz? To mój...

- Znam drogę. Będziemy tam o wiele szybciej.

Nie mogła polemizować z tak logicznym argumentem. Szybko minęli przedmieścia i już po chwili wyjechali za miasto.

Tym razem mówił jej, dokąd prowadzi każde z mijanych skrzyżowań. Miał niemal encyklopedyczną wiedzę na temat całego miasta. Słuchała go z podziwem.

- Facet, z którym pracowałem na samym początku, znał to miasto jak własną kieszeń. - Parsknął śmiechem. – Kiedyś zażartowałem, że pewnie wie, kto mieszka w każdym z mijanych domów, na co z całą powagą odpowiedział, że zna także nazwiska i adresy krewnych tych ludzi!

Po paru minutach dotarli na miejsce wypadku.

Stał już tam samochód policyjny, którego niebieskie światło oblewało niesamowitym blaskiem scenę tragedii.

Gdy Sally wyskoczyła na szosę, nadjechał samochód straży pożarnej. Strażacy natychmiast rzucili się do wyładowywania sprzętu do cięcia blachy, aby oswobodzić uwięzionego pasażera.

Widok był przerażający: niewielki samochód osobowy niemal doszczętnie zmiażdżony przez ogromną ciężarówkę.

- W samochodzie znajduje się kobieta w ciąży - poinformował ich policjant. - Ma poważnie poranione nogi. Nie mam pojęcia, kiedy ją stamtąd wydostaną. Nie można ruszyć ciężarówki, ponieważ skończyłoby się to śmiercią tej kobiety. Ale zgon może nastąpić, zanim ją wydostaniemy.

Sally słuchała jego relacji, biegnąc w stronę samochodu. Podniosła tylko rękę na znak, że zrozumiała jego informację,

- Jak ona się nazywa? - rzuciła w stronę grupki otaczającej samochód.

- Pamela Littlejohn - powiedział ktoś drżącym głosem. Sally podniosła wzrok na mężczyznę w pokrzwawionym ubraniu.

- Pamela czy Pam?

- Pam. - Tym razem jego głos zabrzmiał nieco pewniej. - Jest w szóstym miesiącu. - Mężczyzna wyraźnie nabrał otuchy, widząc Luke'a nadchodzącego z kocem na ramieniu.

- Pam... - Sally dotknęła ramienia kobiety. - Słyszysz mnie? Jestem lekarzem.

Przestała myśleć o przerażonym mężczyźnie, pewna, że znalazł się w dobrych rękach. Skupiła się na zakładaniu kroplówki, puszczać ją pełnym strumieniem, aby zminimalizować utratę płynów w organizmie. W świetle reflektorów wydawało się, że wewnątrz samochodu jest całe zalane krwią.

- Pam? Słyszysz mnie? - Zaglądając do środka przez okno, Sally starała się ustalić źródło takiej ilości krwi. Z jednej strony była zła, że musi czekać, aż strażacy wytną drzwi, z drugiej zaś nie odsuwała się na krok, aby umożliwić im pracę, ponieważ chciała zorientować się, jakie obrażenia odniosła ofiara wypadku.

- Moje dziecko... - jęknęła kobieta. - Ratuj moje dziecko. - Przykryła dłonią brzuch.

- Rusza się? - zapytała Sally, kładąc rękę obok dłoni Pam. - Chłopczyk czy dziewczynka?

- Nie chciałam wiedzieć - jęknęła kobieta. Nie trzeba... otwierać prezentów... przed Bożym Narodzeniem.

Sally wyczuła dłonią lekkie kopnięcie i uśmiechnęła się do przyszłej matki.

- No, to jest albo piłkarz, albo tancerka - zażartowała.

Sporo wysiłku kosztowało ją zmuszenie się do profesjonalnego uśmiechu, gdy podnosiła brzeg spódnicy Pam, aby ocenić jej obrażenia.

Błyskawicznie sięgnęła drugą ręką do torby po gazę. Rozerwała zębami opakowanie, ponieważ nie chciała zwalniać ucisku na odkrytej właśnie ranie, dopóki nie założy opatrunku.

- Sally? - odezwał się Luke, stojący po drugiej stronie auta. Ponad pogiętym dachem zaczęła wydawać mu polecenia.

- Luke, przynieś mi więcej opatrunków uciskowych i opaskę. Ma otwarte złamanie kości udowej. Jest w fatalnym stanie. Jeżeli nie zatrzymamy krwotoku, będzie z nią źle.

- Zaraz wracam - usłyszała, pochylając się ponownie nad ranną. Zastanawiała się, w którym miejscu założyć opaskę uciskową.

- Strażacy proszą, żebyś się odsunęła, bo chcą zdjąć dach - powiedział Luke, tym razem tuż za jej plecami.

- Nie mogę. Muszą mnie obejść. - Starła się założyć opaskę jak najwyżej.

- To ryzykowne.

- Powiedz im, żeby się pospieszyli - zachnęła się - zanim ona umrze.

Nie zostawię jej teraz.

Poczuła jego dłoń na ramieniu, co utwierdziło ją w przekonaniu, że racja jest po jej stronie.

- Już - mruknęła, wsuwając opatrunek pod szeroki bandaż. Upewniła się jeszcze, że ucisk w tym miejscu ograniczy dopływ krwi do tętnicy udowej.

- Proszę. - Luke podał jej ołówek w tej samej chwili, gdy miała o niego poprosić. Zaczęła okręcać go, aby zwiększyć ucisk opaski.

- Krwotok maleje - oznajmiła po chwili. - Możesz zapisać czas?

- Zrobione. Masz wolną rękę? - Podał jej koc. - Przykryją was kocem, bo przy cięciu słupków posypie się reszta szyb.

Gdy strażacy odcinali dach, znalazły się w samym centrum ogłuszającej kakofonii trzasków i zgrzytów. Sally czuła bolesny ucisk tam, gdzie opierała się o ramę drzwi, lecz ani na chwilę nie zmniejszyła nacisku na ranę.

W końcu przeraźliwy zgrzyt zakończył operację usuwania dachu i Luke zdjął z nich koc.

- Schowek przygniótł jej nogi - stwierdziła Sally. - Strażacy mogliby go bardzo ostrożnie odciągnąć albo przesunąć jej siedzenie do tyłu. Wtedy będziemy mogli ją stąd zabrać. Tak czy owak, muszą się spieszyć. Straciła bardzo dużo krwi.

Usłyszała, jak Luke przekazuje ekipie ratunkowej jej wskazówki. Wsunęła się jakoś do wnętrza auta. Nadal uciskając opatrunek, przygotowywała Pam do wyniesienia. Gdy strażacy wyjęli ją wraz z fotelem, Luke natychmiast nałożył jej kołnierz, po czym przejął kontrolę nad opaską uciskową, aby umożliwić Sally opatrzenie najpoważniejszych ran.

- Jak dziecko? - zniżył głos, gdy ranną wnoszono do karetki.

- Rusza się. - Zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że ta dawka soli fizjologicznej wystarczy jej do czasu transfuzji. Straciła mnóstwo krwi.

- Pam! O, Pam! - Widząc, że sanitariusze wnoszą ją do karetki, przerażony mąż rzucił się w ich stronę. Przepraszam, kochanie, przepraszam - szlochał, wrywając się policjantowi, który usiłował go zatrzymać.

- Ja się nim zajmę - zaproponował Luke.

Sally patrzyła, jak objąwszy mężczyznę ramieniem odprowadza go na bok, przez cały czas coś mu tłumacząc.

- Pozwól im umieścić ją w karetce. Jak będzie w środku, dadzą ci znać i zabierzesz się razem z nią. - Na pewno? Będę mógł z nią pojechać?

- Oczywiście. Ktoś przecież musi trzymać ją za rękę.

- To moja wina - zawodził mężczyzna. - Zasnąłem za kierownicą. Obudził mnie dopiero klakson ciężarówki. Za późno, za późno. Zabiłem ją. Zabiłem ich oboje.

- Bzdura! - Luke potrząsnął jego ramieniem. - Dziecko nieźle tam rozrabia! Sam zobaczysz.

Podszedł do nich sanitariusz i zaprosił męża do karetki.

- Wsiadaj. Weź ją za rękę i mów do niej. Powiedz jej, że dziecko żyje. - Luke przekazał rozdygotanego mężczyznę koledze na dyżurze.

- A co z kierowcą tej ciężarówki? - Sally nagle uświadomiła sobie, że jeszcze go nie widziała.

- Jest w szoku, ale nic mu się nie stało. Kabina ciężarówki jest znacznie wyższa i ma specjalne umocnienia.

- Doktor Webster... - Dyżurny policjant podał jej dłoń.

- Pani jest naszą nową wolontariuszką, prawda?

- Zgadł pan. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem, powstrzymując ziewnięcie. - Przepraszam.

- Za dużo wrażeń i za mało snu - zauważył. - Nie będę was zatrzymywał. Zapewne wkrótce znowu się spotkamy.

- Oddalił się, by pokierować uprzątnięciem szosy.

- Która godzina? Czuję się, jakby już było jutro, a ja nawet nie zmrużyłam oka - powiedziała i powlokła się w stronę samochodu.

- Wsiadaj. - Luke stał przy otwartych drzwiach i czekał, by pomóc jej wsiąść.

- Sally? - Byli już niedaleko domu, kiedy Luke przerwał milczenie. - Dobrze się czujesz?

- Jak ja wyglądam! Chociaż tak starannie się otrzepałam, ciągle mam na sobie kawałki szkła, a kurtka wygląda, jakbym miała chałturę w rzeźni.

- Jakoś temu zaradzimy - pocieszył ją, wjeżdżając na podjazd. - Zdejmij ubranie przed drzwiami i otrzep ze szkła, a kurtkę potem można wypłukać. Będzie jak nowa.

- Problem w tym, że nie wiem, czy mam na to siłę - mruknęła, wypuszczając psa do ogródka.

- Wyreczę cię za kubek kawy bez kofeiny. Sally z wdzięcznością przyjęła tę propozycję.

Zanim wycesała z włosów kawałki szkła i nastawiła czajnik, jej kurtka już wisiała na swoim miejscu przy drzwiach.

- Kawa gotowa? - Luke wszedł do kuchni, gdy Sally ustawiała na tacy kubki z kawą i pudełko herbatników.

- Wygodniej nam będzie w salonie. - Podała mu tacę. - Oprócz bałaganu jest tam kanapa.

- Już wiem, co miałaś na myśli, mówiąc o bałaganie. -Roześmiał się na widok jej nieudanych prób z tapetą.

- Wolę to pomalować. Będzie szybciej i taniej. Poza tym Amber nie będzie musiała mi pomagać.

- Tchórz! - zażartował.

- Możliwe, ale za to nie będę miała ścian w łaty z kawałków, które mi Amber zostawi w całości. Farbę emulsyjną można zmyć albo przemaalować, jak się znudzi.

- Kilka roślinek bardzo ożywi ten pokój - powiedział, rozglądając się dokoła.

- Och, ty i te twoje rośliny! Wszędzie byś je ustawiał. Jesteś pewien, że nie wolałbyś być dekoratorem wnętrz albo właścicielem szklarni?

Zajęli miejsca na kanapie. Sally usiadła z podwiniętymi nogami w swoim ulubionym rogu, Luke natomiast na środku, z ramieniem wyciągniętym na oparciu.

- Mam nadzieję, że nieczęsto tak ryzykujesz. - Jego głos wyrwał ją z zadumy nad opłakanym stanem tapety.

- Słucham? - Nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Że nie masz zwyczaju przyklejać się do samochodów w trakcie przecinania ich na pół - wyjaśnił.

- Tylko wtedy, kiedy jest to konieczne - oznajmiła. - Nie mogę ułatwiać im zadania kosztem ludzkiego życia.

- Ty to nazywasz ułatwianiem? - parsknął. - Ty też mogłaś doznać obrażeń.

- Ale nie doznałam - ucięła krótko - a ponadto tych dwoje ma szansę przeżycia.

- Zgoda, poddaję się. Ale proszę cię, uważaj na siebie, dobrze?

Wstrzymała oddech, widząc, że Luke pochyła się ku niej. Gładził jej kasztanowe włosy, których po wyszczotkowaniu już nie związywała.

- Jakie miękkie... -szepnął.

Głośne szczerknięcie przypomniało im o Amber, która już miała dosyć spaceru. Sally z pewnym żalem podniosła się ze swojego ulubionego miejsca.

- Chcesz jeszcze kawy, czy jest już za późno? Powinieneś się wyspać, jeżeli masz jutro poranny dyżur.

- Nie potrzebuję dużo snu, ale za kawę już dziękuję. -Przechylił głowę na oparcie kanapy i wpatrywał się w Sally rozmarzonym wzrokiem. Poczwała, że zdążył się zorientować, co ona do niego czuje.

Uśmiechnęła się, mimo że niechętnie myślała o zakończeniu tego wieczoru. Wyszła, by wpuścić psa.

Żeby nieco ochłonać, nim wróci do przytulnej atmosfery salonu, przystanąła nad legowiskiem Amber, sprawdziła, czy pies ma wodę w misce, i dopiero wtedy zamknęła drzwi do kuchni.

Po drodze niemal zderzyła się z Lukiem, który właśnie wyszedł do przedpokoju.

- Pora na mnie - powiedział półgłosem. - To, że ja mało sypiam, wcale nie znaczy, że ty masz się nie wysypiać. - Pogładził palcem siny krąg pod jej okiem. - Za dużo od siebie wymagasz. To niczego nie zmieni... Nasze lęki i zmartwienia zawsze nas dopadną. Tylko się zameęczasz.

W jego oczach ujrzała smutek, wobec którego poczuła się bezsilna. Współczwała mu.

- Dobranoc - szepnął, zawahał się i delikatnie musnął wargami jej usta. - Śpij dobrze.

Wyprostował się i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Słowa Luke'a przez kilka dni nie dawały jej spokoju.

Odczuwając coraz dokuczliwiej skutki trybu życia, jaki sobie narzuciła, pomyślała, że chyba miał rację. Kiedy pewnego wieczoru parkowała przed domem i nagle uświadomiła sobie, że nie pamięta, jak dojechała, zrozumiała, że trzeba z tym skończyć.

- Wsiadamy, Amber. Dam ci jeść i wcześniej pójdziemy spać. -

Wypuściła psa i zamknęła samochód.

Spostrzegła, że przed drzwiami stoi jakiś pakunek.

- Co to jest? - Odwinęła róg papierowego opakowania, pod którym zamajaczyły ciemnozielone liście. - Luke... -szepnęła uradowana.

Uszczęśliwiona wniosła roślinę do kuchni, żeby ją rozpakować.

- Och! - wyrwało się jej na widok amarantowych kwiatów. Odniosła wrażenie, że wie, co to za roślina, lecz daremnie szukała dla potwierdzenia karteczki z jej nazwą i sposobem pielęgnacji. Rozprostowała nawet papier wrzucony do kosza, aby sprawdzić, czy jej nie wyrzuciła.

Wiedziała z doświadczenia, że pod jej okiem roślina może nie dożyć następnego dnia. Tylko Luke potrafi temu zapobiec. Mimo że mieszkał w pobliżu, nie miała pojęcia, jak się z nim skontaktować.

Nie wypadało jej dzwonić do centrali, by z nim porozmawiać. Po pierwsze, nie była pewna, czy to prezent właśnie od niego, chociaż miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Po drugie, powinna mieć na uwadze reakcję środowiska: nie wiadomo, jak szybko rozeszłaby się wiadomość, że go poszukiwała oraz jak by ją zinterpretowano.

Postanowiła poczekać do następnej okazji. Już miała wyrzucić papier, gdy na jednym z rogów zauważyła jakieś cyfry. Numer telefonu.

Ale czyj?

Podekscytowana przysiadła przy telefonie i wybrała numer.

- Halo?

Oniemiała, słysząc znajomy niski głos.

- Co ja właściwie mam z tym zrobić? - zapytała zdławionym głosem.

Odpowiedział jej śmiech.

- Dobry wieczór! Podoba ci się?

- Przepiękny, przecież wiesz. Ale nie mam pojęcia, co się z tym robi.

Zapomnieli w sklepie o ulotce.

- Nie było żadnej ulotki. To z mojej własnej hodowli. Zaniemówiła. Po raz pierwszy ma do czynienia z kimś, kto robi sadzonki, a na dodatek potrafi z nich wyhodować coś tak pięknego jak to, co teraz stoi przed nią na kuchennym stole.

- Czeka go marny los, jeżeli nie dostanę instrukcji. Co to jest?

- Epiphyllum.

- Co?! - zachichotała.

- Dla nie wtajemniczonych: kaktus bożonarodzeniowy albo grudnik.

- Sally czuła, że Luke stara się nie roześmiać.

- Ale teraz będziemy mieli Wielkanoc - zauważyła.

- No to co? Jak już trochę w siebie uwierzysz, nauczę cię, jak zmusić go, żeby kwitł wtedy, kiedy zechcesz. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na urodziny...

Nie tak szybko. Najpierw muszę mieć pewność, że przeżyje.

- To całkiem proste. Potrzebuje dużo światła. Będzie mu dobrze na twoim kuchennym stole, a poza tym wystarczy mu trochę wody z kranu: tyle żeby miał wilgotną ziemię,

- Nic więcej? - zaniepokoiła się. - A kwiaty?

- Trzeba się nimi cieszyć - odparł. - Po prostu patrz na nie i podziwiaj.

Ilekcóż weszła do kuchni, słyszała jego instrukcję.

Miał rację: kuchnia ożyła dzięki jednej roślinie. Chociaż Sally spędzała w domu niewiele czasu, często zasiadała przy kuchennym stole, żeby podziwiać delikatne kwiaty: ich wymyślny kształt i niezwykłą grę barw.

Przeświadczenie, że roślina czeka na jej powrót, pomagało jej znosić zawrotne tempo pracy, mimo że przez kilka dni nie spotkała Luke'a.

Niespodziewanie okazało się, że nawał zajęć stopniowo maleje, że coraz mniej pacjentów zapisuje się na wizyty.

Dopiero uwaga jednej z rejestratorek uświadomiła jej przyczynę tego zjawiska.

- Doktor Webster... - Sue Lyons zajrzała do gabinetu i weszła do środka z parującym kubkiem. - Pora na kawę.

- Wspaniale. - Sally uśmiechnęła się do Sue. - Zdążę, zanim przyjdzie pan Turton? - Zerknęła na stertę kart.

- Prawdę mówiąc - zaczęła niepewnie Sue - zadzwonił, żeby zapisać go do innego lekarza.

- Powiedział dlaczego? - zapytała Sally ze ściśniętym sercem.

- Powiedział, że chce, żeby go obejrzał „prawdziwy doktor”, a nie jakaś nowa lekarka.

- O, matko! - Sally ściągnęła brwi. - Wiem, że to nie to samo, co praktyka w wielkim mieście, ale nie podejrzewałam, że tutejsza ludność jest aż tak zacofana. Czy to dlatego mam ostatnio tyle wolnego czasu?

- Hm... - mruknęła Sue, spoglądając na uchylone drzwi. Sally pokazała jej gestem, aby zamknęła je i usiadła przy jej biurku. Wiedziała, że Sue powie jej prawdę.

- Czy ja coś źle robię? Moi koledzy będą niezadowoleni, kiedy okaże się, że muszą za mnie pracować.

- To nie pani wina. George pracował tu tak długo, że wielu jego pacjentów poczytuje sobie wizyty u pani za brak lojalności...

- Ale on oszedł! Nie dawał sobie rady, zaczął się mylić.

- My o tym wiemy, George także. Inaczej nie przeszedłby na emeryturę. Podejrzewam, że pacjenci też to wiedzą...

- To co ja mam zrobić? - Sally obracała w palcach długopis. Musiała czymś się zająć, aby odeprzeć falę mdłości. - Może powinnam zrezygnować? Moglibyście wtedy zatrudnić mężczyznę.

- Nie ma mowy - oświadczyła stanowczo Sue. - Nic by to nie zmieniło. Nie będzie lepszy od pani, a na pewno gorszy.

- Dziękuję. Więc co mam zrobić?

- Uważam, że trzeba to przeczekać. Odejdzie wprawdzie paru wielbicieli George'a i bigotów, ale to żadna strata. Powoli zaczną panią

akceptować, szczególnie kobiety z dziećmi. Przyjdzie jeszcze taki dzień, kiedy będzie pani wspominać te chwile jak ciszę przed burzą, bo zaczną się do pani pchać drzwiami i oknami.

- Lejesz miód na moje serce! - roześmiała się Sally.

- Ja już to znam - oznajmiła Sue, podchodząc do drzwi. - Każdy lekarz musiał tu na początku swoje przecierpieć. Proszę spokojnie wypić kawę. Dam znać, jak przyjdzie następny pacjent.

Otworzyła drzwi i w tej samej chwili dobiegł je odgłos wielkiego zamieszania.

- Proszę mi pomóc! Niech mi ktoś pomoże! - krzyczała jakaś kobieta.

Sue rzuciła się w jej kierunku.

Sally wybiegała zza biurka, gdy do gabinetu wpadła przerażona kobieta z zawiniątkiem w ramionach.

- Proszę mi pomóc! Mojej Tinie! Weszła do wanny z taką gorącą wodą... - Uniosła róg wilgotnego ręcznika, ukazując czerwoną jak rak nóżkę dziewczynki.

Sally sięgnęła do specjalnego kodowanego przycisku na telefonie, który automatycznie wzywał karetkę.

Podprowadziła matkę do leżanki.

- Ile Tina ma lat? Jak długo była w wannie?

- Skończyła dwa tygodnie temu. - Kobieta z trudem powstrzymywała łzy. - Nie była tak długo. Przysięgam, że to nie trwało długo! Usłyszałam jej krzyk... O Boże!

- Co pani zrobiła po wyjęciu jej z wanny? Była w u-braniu?

Zasypując matkę pytaniami, przygotowywała jałowe opatrunki. Złotowłosa dziewczynka, wstrząsana drgawkami, ledwie oddychała przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Rozebrała się. Niedawno nauczyła się zatykać wannę. Musiała odkręcić kurek z gorącą wodą... Nie wiedziałam, że jest w wannie, dopiero jak usłyszałam jej krzyk.

- Co pani zrobiła? Czy polala ją pani zimną wodą? - dopytywała się Sally.

Otworzyła pojemnik z żelem chłodzącym i zaczęła nakładać go na pulchną nóżkę. Przeraziła ją skóra schodząca płatami z czerwonego ciała.

- Posadziłam ją w bidecie, napelniłam go zimną wodą, zamoczyłam ręczniki.

- To dobrze - pochwaliła Sally, patrząc jej prosto w oczy.

- Zrobiła pani wszystko, co należy robić w takich wypadkach.

Sally nakładała sterylne opatrunki, gdy rozległo się wycie sygnału karetki. Po chwili do gabinetu wpadł Luke. Postawił torbę na biurku.

- Co się stało?

- Dwuletnia dziewczynka weszła do wanny z gorącą wodą. Matka natychmiast wsadziła ją do zimnej wody, owinęła w mokry ręcznik i przybiegła do nas.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego nie do szpitala?

- Mieszkam dwa domy stąd! - łkała zrozpaczona matka.

- Powinnam ją zanieść do szpitala? Przepraszam cię, Tino...

- To co innego. Jeżeli mieszka pani tak blisko, postąpiła pani słusznie. Co pani jej zaaplikowała, pani doktor?

- Środek przeciwbólowy, żel chłodzący oraz mokre opatrunki sterylne. Moim zdaniem mamy do czynienia z poparzeniem drugiego stopnia, ale na szczęście na niewielkiej powierzchni ciała. Skóra bardzo wrażliwa na dotyk, owłosienie nie uszkodzone.

- Dzięki Bogu... - Luke pochylił się nad dziewczynką.

- Cześć, aniołku. Mam na imię Luke. Zabieram ciebie i twoją mamę na przejażdżkę samochodem, zgoda?

Delikatnie wziął zawiniątko na ręce i wyszedł z gabinetu. Jego towarzysz wyniósł nieprzydatne torby ze sprzętem,

Sally głęboko westchnęła i zabrała się do porządków. Czuła, że dopiero teraz zaczynają jej drżeć ręce. Ciągle nie mogła się nadziwić, do jakiego stopnia profesjonalizm potrafi wytłumić w niej wszelkie emocje.

- Biedna mała - szepnęła, wyrzucając strzykawkę, którą zaaplikowała jej środek przeciwbólowy, - Sue... - połączyła się przez telefon z rejestratorką - czy następny pacjent już czeka?

- Tak. Przyszła pani Porter, ale jestem przekonana, że pozwoli pani dokończyć kawę.

- Nie, nie. Niech wejdzie. - Sally czuła, że nie ma ochoty na przerwę.

- Wypiję tę kawę po jej wyjściu.

Żaden z pacjentów nie miał do niej pretensji o to, że nieoczekiwane zdarzenie kazało im czekać. Z zadowoleniem spostrzegła, że chociaż ich zainteresowanie w dużej mierze podyktowane było ciekawością wszystkich poruszył fakt, że coś się stało ich sąsiadce - zupełnie inaczej niż w wielkim szpitalu miejskim. Zaskoczyło ją, że mieszkańców mniejszej społeczności łączy coś, co przypomina więzy rodzinne.

- Trochę cierpliwości - zaczęła Sue, przynosząc kolejny kubek z kawą. - Jak ta wiadomość dotrze do wszystkich, powtarzana przez tych, którzy tu byli, tych, których tu nie było, powstanie tak fantastyczna opowieść, że sama doktor Webster nie pozna tej osoby w aureoli i ze skrzydłami!

Sally roześmiała się z niedowierzaniem.

- Zobacz pani. - Sue pokiwała głową. - Podejrzewam, że to jest pani ostatni spokojny dzień. Odtąd nie zazna pani ani chwili spokoju...

Gdy okazało się, że dwaj ostatni pacjenci odwołali swoje wizyty, Sally zważyła w przepowiednię Sue. Ale, pomyślała, filozoficznie i wzruszyła ramionami, czas pokaże.

Postanowiła rozsądnie gospodarować swoim czasem. Miała jeszcze sporo roboty w swoim niewielkim domku, a widząc, że pogoda się poprawia, uznała, że należy zająć się ogródkiem.

Kończyła właśnie zmywać naczynia po samotnej kolacji i ze ścierką w ręce patrzyła na pusty kawałek ziemi, który miał wkrótce stać się jej ogródkiem. Zastanawiała się, o czym myślał Luke, kiedy któregoś dnia tak mu się przyglądał.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki za oknem pojawiła się jego twarz. Amber powitała go z dziką radością.

- Co cię tu sprowadza? - spytała.

- Poczucie obowiązku - oświadczył poważnym tonem. - Przyszedłem zbadać jedno z moich dzieci. - Usadowił się przy stole i przysunął do siebie doniczkę z kaktusem. - Witaj, mój śliczny. Jak ona cię traktuje?

Przemawiał do kwiatu czule, odskubując kilka suchych listków. Potem przechylił głowę, udając, że nasłuchuje, po czym oświadczył:

- Stan idealny. Zaświadczenie kosztuje filiżankę kawy.
- Wariat! - Cisnęła w niego ścierką. - Mogłeś poprosić...
- Bardzo proszę, pani doktor. - Podniósł rękę. - Czy mogę prosić o kawę? - Wstał i podszedł do Sally. - Mogę nawet sam ją zrobić, a ty dokończ te porządki.

Przeszli z tacą do salonu, ponieważ Sally chciała pochwalić się postępem prac dekoratorskich.

- Podoba mi się. - Stał pośrodku pokoju i rozglądał się. - Miałaś rację z tą emulsyjną. Teraz wystarczy tylko...

- Wstawić coś zielonego - dokończyła, sadowiąc się w swoim rogu kanapy.

- Skoro już o tym mowa... - Strzelił palcami, jakby sobie coś przypomniał, i wybiegł z pokoju. Usłyszała, że wychodzi na dwór, po czym wraca.

- Och, Luke! Jakie to... - Zabrakło jej słów na widok różnobarwnych kwiatów w doniczkach, ustawionych w płaskim pudle.

- Do roboty. - Rozglądał się po salonie. - Gdzie będzie wam najlepiej?

Błyskawicznie porozstawiał wszystkie doniczki: jedna roślina zwieszała ukwiecone łodygi z regału, inne wypełniły jaskrawymi barwami niewielką niszę, jeszcze inne stanęły na parapecie i nad kominkiem.

Wszystkie były odmianami grudnika, który stał w kuchni.

- Co ty na to? - Luke usiadł na środku kanapy i wziął swój kubek z kawą.

- Przepięknie! - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, napawając się wyrazem nieskrywanego zadowolenia. - Lubisz obserwować, jak coś

rośnie, prawda? Lubisz opiekować się roślinami i ludźmi, na przykład małą Tiną.

Uśmiechnęli się porozumiewawczo. Wiedzieli już, że poparzenia nie są tak dotkliwe, jak mogło się wydawać, i że powinny zagoić się w ciągu trzech tygodni, nie pozostawiając blizn.

Patrzył jej w oczy, w myślach rozważając jej słowa.

- Może po prostu Kocham życie. - Ujął jej dłoń. - Zdaje się, że otarłem się o śmierć w wyniku tego wypadku, a kiedy doszedłem do siebie, poczułem, że wcześniej mnie nie było. - Zmarszczył brwi, jakby szukał odpowiednich słów. - W pewnym sensie musiałem siebie wymyślić.

- Wymyślić siebie? - Zaskoczyło ją to sformułowanie.

- Musiałem dowiedzieć się, co lubię i czego nie lubię, co potrafię i czego nie potrafię. Nie miałem żadnych doświadczeń z przeszłości, na których mógłbym się oprzeć.

- Co sprawiło, że postanowiłeś zostać pielęgniarzem?

- To nie moja zasługa. Kiedy ostatecznie pogodziłem się z myślą, że iluminacja nie nastąpi i nie odzyskam przeszłości, musiałem znaleźć sposób zarabiania na życie.

Uścisnął mocniej jej dłoń, oddając się mrocznym wspomnieniom.

- Najpierw pracowałem w szpitalu jako salowy, potem dowiedziałem się o istnieniu kierowców karetek.

- Co takiego?! - Roześmiała się. - Czego się o nich dowiedziałeś?

- Karetki mają prawo nie przestrzegać ograniczeń prędkości, przejeżdżać przez skrzyżowania na czerwonym świetle, jeździć każdą stroną jezdni... Nie wiem, jaki byłem w wieku kilkunastu lat, ale to mi się spodobało!

- Uzależniony od ryzyka! - rzuciła z wyrzutem.

- To prawda.

- I dlatego masz wszystkie możliwe prawa jazdy? Żeby móc jeździć karetkami na każdej szerokości geograficznej!

- Poniekąd. - Spoważniał: — Poza tym liczyłem, że może kiedyś byłem sławnym kierowcą i jakiś komputer na podstawie moich zdjęć gdzieś mnie w końcu znajdzie. Marzyłem sobie, że jakiś drobny urzędnik wrzaśnie: „Eureka!”, odnajdując dwa prawa jazdy z tym samym zdjęciem, ale z innymi nazwiskami, i oskarży mnie o fałszerstwo.

W milczeniu pili kawę. Sally bała się ruszyć, by nie cofnął swojej dłoni. Nie miała jednak całkowitej pewności, kto kogo trzyma za rękę.

- Jeżeli samochody sprawiały ci tyle radości, to dlaczego z nich zrezygnowałeś?

- Odkryłem, że jestem jeszcze lepszy w sprawach medycznych, więc zapisałem się na różne kursy i po dwóch latach skierowano mnie na szkolenie dla pielęgniarzy. Chyba mam jakieś szczególne wyczucie...

Lekceważąco uniósł jedno ramię, lecz Sally wiedziała, co miał na myśli.

W ciągu tych paru tygodni słyszała niejedną niesamowitą opowieść o Luke'u Nemo, o tym, jak potrafi znaleźć się w samą porę we właściwym miejscu, i to z potrzebnym sprzętem.

- Czy myślisz... - zaczęła, lecz w tej samej chwili do salonu wpadła Amber, domagając się ich uwagi.

- Wspaniały pies - powiedział Luke do Amber, która wpatrywała mu się w oczy, z wdzięcznością przyjmując jego pieszczoty. - Jak długo ją masz?

Sally zastanawiała się, ile czasu upłynęło, odkąd ze złamanym sercem porzuciła Briana. Jechała samochodem przez kilka godzin, aż w końcu gdzieś zaparkowała. I tam właśnie znalazła Amber z obrozą z drutu kolczastego. Pies był u kresu sił i bardzo bał się wszystkich mężczyzn, co kazało Sally przypuszczać, że ktoś się nad nim znęcał.

- Niecałe dwa miesiące.

Sama się zdziwiła, że upłynęło już tyle czasu. Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądało jej życie bez psa.

- Tylko? Ona zachowuje się tak, jakbyś należała do niej od dawna.

Rozbawiło ją takie sformułowanie, więc opowiedziała mu historię Amber.

- Dranie! - warknął. - Jak można maltretować bezbronne stworzenie?

W tej samej chwili Sally pojęła, dlaczego Amber tak za nim przepada, mimo że Luke jest mężczyzną.

- Luke'u Nemo, jesteś oszustem - oznajmiła. - Obnosisz się z kamienną twarzą, ale pod spodem jesteś zupełnie inny!

- Cii! - Zasłonił jej usta dłonią i zaczął się rozglądać, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje. - Nie wolno ci wyjawić mojej tajemnicy, bo mi się nie uda...

Patrząc sobie w oczy, śmiali się w głos, aż nagle śmiech zamarł, wyparty przez mroczną świadomość pożądania.

Zobaczyła, jak mu się rozszerzają źrenice i zarazem poczuła, że palce zakrywające dotąd jej usta zaczynają je pieścić.

Napięcie to nie uszło uwagi Amber, która wydała z siebie niepewny skowyt, psując nastrój.

- Co się stało, piesku? - zapytała Sally drżącym głosem. - Chcesz wyjść? - Nie wiedziała, czy utrzyma się na nogach, gdy wstanie.

Chciała zobaczyć jego twarz, dowiedzieć się, czy zauważył, co się stało, ale nie miała odwagi spojrzeć. Bała się, że Luke dostrzeże jej zakłopotanie.

- Siedź, a ja zrobię kawę - rzuciła i umknęła do kuchni. Wyrzucała sobie swoje tchórzostwo. Nie stało się nic nieodpowiedniego, czego mogłaby się wstydić, więc dlaczego uciekła?

Podziwiała Luke'a Nemo za to, jak ułożył sobie życie po przebudzeniu w tak trudnej sytuacji. Był człowiekiem fascynującym i inteligentnym, który z każdym dniem robił na niej coraz większe wrażenie: nie tylko w sferze doznań fizycznych, ale także w sferze uczuć.

Wzięła głęboki oddech i mocno oparła dłonie na kuchennym blacie, aby stawić czoło nasuwającym się wnioskom.

Zraniona zdradą Briana, przyjechała tu z postanowieniem, że od tej pory sama będzie decydować o swoim losie. Ponieważ jej zaufanie zostało w brutalny sposób wykorzystane, przysięgła sobie, że żaden mężczyzna nie dotrze do jej serca.

Proszące szczerzenie Amber przywołało ją do rzeczywistości. Wpuściła psa do domu i zamknęła kuchenne drzwi.

Postawiła kubki ze świeżą kawą na tacy i wyprostowała ramiona.

Minione miesiące pokazały jej, że posiada znacznie większe zasoby energii, niż się spodziewała. Wróci do salonu i spojrzy mu w oczy. Usiądzie obok niego i opowie mu, dlaczego znalazła się w tej części kraju. Przyzna się, że pomimo obaw i zastrzeżeń, czuje, że on ją pociąga...

Stała w progu salonu, obserwując drzenie powierzchni kawy świadczące o tym, jak bardzo jest spięta przed tą rozmową. Podniosła oczy.

Widok, jaki ujrzała, wywołał na jej twarzy uśmiech.

Luke Nemo spał kamiennym snem na jej kanapie z głową opartą na ramieniu pod bardzo niewygodnym kątem. Jego długie nogi zwisały beładnie niczym nogi nowo narodzonego żrebaka.

- O, Luke... - szepnęła rozczulona.

Na jego skroniach dostrzegła pierwsze nitki siwizny. We śnie wyglądał bardzo młodo, wręcz niewinnie, młodziej niż ten opanowany i zamknięty mężczyzna, jakim był, gdy nie spał.

Przeszła na palcach do bielizniarki po poduszkę i koce. Nie budząc go, ułożyła go wygodnie. Kiedy zdejmowała mu buty i układała nogi na kanapie, przypomniała sobie, że twierdził, iż nie potrzebuje dużo snu.

Czy to, dlatego, że należy do tych wybrańców losu, którzy mogą spać krócej niż inni, czy dlatego, że nie może znaleźć ukojenia?

Zgasła lampę pod sufitem, pozostawiając małą lampkę w rogu pokoju, która dawała akurat tyle światła, by mógł się zorientować w sytuacji, jeżeli się obudzi w środku nocy.

- Dobranoc - szepnęła.

Czuła, że sama też powinna pójść do sypialni, ale wiedziała, że trudno jej będzie zasnąć ze świadomością, że Luke śpi pod tym samym dachem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Budzik zadzwonił o siódmej. Leżąc jeszcze chwilę w ciszy poranka, Sally poczuła, że zaszła jakaś zmiana.

- Luke.,. - szepnęła, po czym zerwała się na równe nogi i w pośpiechu zbierając ubrania, pomknęła do łazienki.

Zbiegając po schodach na dół, poczuła zapach kawy. Z bijącym sercem otwierała drzwi do kuchni.

Amber powitała ją radośnie, tłukąc ogonem w legowisko. Poza nią jednak nikogo w kuchni nie było. Sally zdała sobie sprawę, że bardzo- jej zależy na obecności Luke'a. Chciała siedzieć razem z nim przy stole, popijając tę najważniejszą kawę w ciągu dnia.

Odwróciła się w stronę stołu i dopiero wówczas zauważyła kartkę opartą o doniczkę z grudnikiem.

Amber już była na spacerze. Kawę zaparzyłem o szóstej. Wolałbym, żeby na dzień dobry całowała mnie królowna, a nie jej wierny pies, ale niestety... Dziękuję.

Sally roześmiała się na myśl, że Amber już odkryła, iż drzwi kuchenne się nie domykają. Wyobraziła sobie reakcję Luke'a na jej mokre i zimne powitanie.

Przeszła z kubkiem kawy do salonu, gdzie w rogu kanapy leżały starannie poskładane koce: jedyny ślad bytności Luke'a.

Przyłapała się na tym, że gładzi poduszkę, na której spał, i poczuła się jak nastolatka zauroczona jakimś idolem.

- Co się z tobą dzieje?! - ofuknęła siebie w drodze do kuchni. Jest przecież dorosłą kobietą, i to lekarzem. Jak można tak się wzruszać na widok poduszki?!

- Do roboty, Amber - oświadczyła, sięgając po starą kurtkę i rękawice. - Bierzemy się do naszego ogródka!

Roześmiała się, kiedy uradowany zwierzak wykonał szalony taniec wokół niej, usiłując jednocześnie wyrwać jej rękawicę.

- Nic z tego! Mam tylko pół dnia...

- O, nie! - jęknęła, słysząc natarczywy dzwonek telefonu. Naprawdę cieszyła się perspektywą fizycznego wysiłku przy pracach porządkowych w ogródku. Miałyby także Sposobność pomyśleć o swojej przyszłości.

Podeszła do telefonu, zostawiając kalosze na wycieraczce pod drzwiami.

- Słucham - powiedziała.

- Tu Sue. Przepraszam, że psuję pani wolny dzień.

- Nie ma sprawy - zapewniła ją Sally, wykrzywiając się brzydko w stronę psa, który właśnie wrócił z dworu i położył się w drzwiach, dając wyraz swojemu wielkiemu niezadowoleniu. - Co się stało?

- Zadzwoiła jedna z pani pacjentek. Przyjdzie z córką. Obydwie są bardzo zdenerwowane. Córkę kopnął koń. Ma ranę głowy i mocno krwawi.

- O Boże! - Oczami duszy Sally zobaczyła ten upadek. - Dlaczego nie zawiozła jej na ostry dyżur?

- Mówi, że córka boi się szpitala.

- Już jadę!

Zdjęła grube skarpety i włożyła buty.

- Chodź, piesku!

Zamknęła kuchenne drzwi i przeszła pospiesznie do drzwi frontowych, po drodze zabierając torbę i kurtkę. Amber z radością przyjęła zmianę planów i wymachując ogonem pobiegła za nią do samochodu, gdzie posłusznie ułożyła się przed fotelem dla pasażera.

- Gdzie one są?! - spytała chwilę później, wbiegając do poczekalni i wyciągając rękę po kartę pacjentki.

- W jedyńce. Spokojnie. Nie jest tak źle, jak myślałam.

- Co?! Powiedziałaś, że koń kopnął ją w głowę...

- Można to tak nazwać. - Sue zniżyła głos. - Niezłe z nich aktorki.

Matka nie pozwoliła nawet pielęgniarce przemyć rany.

- Rozumiem.

- Pani doktor! - Te słowa wypowiedziane bardzo ostrym tonem powitały Sally w gabinecie. - Czy nikt pani nie powiedział, że Saskię kopnął koń?! Jest cała we krwi i na pewno zostanie jej okropna blizna.

- Dzień dobry, pani Smith. - Sally podniosła wzrok znad karty, by pozdrowić bardzo szczupłą, wręcz tykowatą kobietę, która bez wątpienia dokładała wszelkich starań, aby zachować młodzieńczy wygląd. - Czy może pani usiąść, a ja tymczasem obejrzę ranę?

Wskazała matce krzesło pod samymi drzwiami.

- Nazywam się Armstrong-Smith - powiedziała kobieta takim tonem, jakby jej nazwisko wszystko wyjaśniało. - Nie zostawię Saskii samej. Jest zbyt wrażliwa i nie może rozstawać się ze swoją matką.

Usiadła tuż obok córki, którą Sally nareszcie mogła zobaczyć.,

Rękaw nieskazitelnie białego sweterka dziewczynki oraz jasne włosy z jednej strony twarzy były mocno poplamione krwią. Sally dostrzegła

wprawdzie ślady łez na policzkach, ale w chabrowych oczach nie zauważyła ani śladu strachu.

Sponad opatrunku dziewczynka zerkała to na nią, to na matkę bystrym i zaciekawionym wzrokiem.

- Jest pewien problem, pani Armstrong-Smith - zaczęła Sally.

- Problem?! Rana jest tak poważna, że trzeba wezwać specjalistę?

- Nie. Nic podobnego. Ten problem można bardzo łatwo rozwiązać. -

Sally wprawnym ruchem włożyła rękawiczki. - Polega on na tym, że nie mogę zająć się Saskią, ponieważ nie daje mi pani do niej dostępu...

- Doprawdy! - fuknęła pani Armstrong-Smith, po czym przeniosła się na krzesło przy drzwiach.

- Pozwól mi popatrzeć, Saskio. - Sally stanęła przed dziewczynką, delikatnie zdjęła opatrunek i przechyliła jej głowę bliżej światła. - Mmm... to nie wygląda na kopnięcie.

- Zapewniam panią! - warknęła wojowniczo matka, lecz Sally zupełnie ją zignorowała.

- Wygląda mi to raczej jak zadrapanie gałęzią podczas galopu.

Sally mrugnęła porozumiewawczo do dziewczynki i lekko ścisnęła jej ramię. W odpowiedzi otrzymała wymowne spojrzenie.

- Najpierw trzeba cię jakoś doprowadzić do porządku, potem dam ci coś, żeby nie bolało, kiedy będę czyścić ranę.

- Zerknęła na środki przygotowane zawczasu przez pielęgniarkę, po czym zabrała się do przemywania skaleczenia. -Czy pamiętasz, kiedy ostatnio otrzymałaś zastrzyk przeciwężcowy?

- Chyba cztery lata temu, kiedy trzeba było założyć mi szwy na kolanie.

- To wystarczy - oznajmiła Sally, okrywając dziewczynkę serwetą. -
Jeden kłopot mniej... - Skupiła się teraz na oczyszczeniu rany.

Przygotowując strzykawkę, spoglądała na Saskię kątem oka.
Dziewczynka zachowywała się bardzo spokojnie i nad wiek rozsądnie, w
przeciwieństwie do matki.

- Będzie bolało? - zapytała szeptem, lecz Sally nie zdążyła z
odповідzią.

- Oczywiście, skarbie - zapewniła pani Armstrong-Smith i stanęła tuż
za plecami Sally. - Teraz pani doktor będzie zszywać...

Nie dokończyła, ponieważ Sally gwałtownie odwróciła się w jej
stronę.

- Pani Armstrong-Smith - oświadczyła stanowczym tonem - skoro
nie potrafi pani siedzieć cicho, proszę wyjść do poczekalni.

- Coś podobnego! Jak tak można?! - krzyknęła oburzona kobieta. Na
odchodnym zdążyła jeszcze oddać ostatni strzał:

- Szkoda, że nie ma tu doktora Levenhama. On wiedział, jak lekarz
powinien się zachowywać!

Sally postanowiła, nie dać wyprowadzić się z równowagi. Zdawała
sobie sprawę z tego, że należało postąpić bardziej dyplomatycznie, ale ta
głupia baba swoim gadaniem mogła znowu doprowadzić do łez własne
dziecko...

Thumiony chichot kazał Sally spojrzeć w dół.

- Ona taka jest, od kiedy tata uciekł ze swoją sekretarką. A już
zawsze wobec młodszych i ładniejszych. Zdenerwowała panią, nie?

Chytre, niebieskie oczka popatrzyły na rękę Sally.

- O Boże! - Okazało się, że w strzykawce nic nie ma. - Gdzie to jest?

- Na ścianie! - Saskia pokazała palcem mokrą plamę i zachichotała. - Tym razem mama nieźle się postarała!

- Koniec żartów, młoda damo. Trzeba jak najszybciej założyć ci szwy.

Sama z trudem zachowywała powagę.

- Dlaczego? Żebym jak najszybciej sobie poszła?

- Niezły pomysł. - Sally sięgnęła po drugą ampułkę środka znieczulającego.

- Wcale nie - oznajmiła Saskia. - Ja bym chciała, żeby mi pani mówiła, co pani robi i dlaczego.

- Dobrze. Jak chcesz, mogę ci cały czas opowiadać, co robię. - Sally nie dostrzegła strachu w jej oczach. Ale nie jestem pewna, czy twoja mama będzie zadowolona, jeżeli mi tu zemdlejesz.

Dziewczynka znowu zachichotała, po czym się skrzywiła.

- Bolało... - Podniosła dłoń. - Będę miała bliznę?

- Nie, ale musimy się pospieszyć. - Przytrzymała rękę dziewczynki. - Najpierw oczyściłam i zdezynfekowałam ranę, żeby nie było zakażenia, i dlatego nie wolno ci jej dotykać.

- Aha. A potem?

- Teraz dam ci zastrzyk znieczulający okolice rany.

- Żebym nie poczuła, jak będzie pani szyła?

- I jak będę sprawdzała, czy nic nie dostało się do rany. Być może trzeba będzie wyrównać brzegi, żeby się ładnie zrosło.

- Jakie to będą nici? Rozpuszczalne?

- Nie. Rozpuszczalne szwy zakłada się na głębokie rany. Tobie dam nici nylonowe.

- Jak długo będę nosić te szwy? Przez tydzień?

- Ależ nie! Trzy do pięciu dni.

To dziwne, że relacjonuje przebieg zabiegu osobie tak młodej, lecz inteligencja i żywe zainteresowanie dziewczynki wkrótce kazały Sally zapomnieć o jej wieku.

- Zasadniczo, im dłużej pozostawia się szwy, tym brzydsza blizna... i większe prawdopodobieństwo zakażenia.

Skończyła i rzuciła ostatnie spojrzenie na swe dzieło.

- Koniec. Teraz już tylko opatrunek...

- Mogę zobaczyć? Ile ich jest?

- Proszę bardzo, męczycuszo. Wstawaj powoli, bo możesz mieć miękkie kolana. Popatrz sobie do lusterka na drzwiach.

- Ojej ! Aż cztery! ! ! Czy mogę je potem dostać na pamiątkę?

- Zastanowię się. Na razie usiądź, bo już chcę z tym skończyć. Czeka na mnie pies i kopanie ogródka.

Przez godzinę zajmowała się ogródkiem, lecz mając takiego pomocnika jak Amber, nie osiągnęła wiele.

- Amber! - krzyknęła, poddając się na widok ogromnej dziury, w której, wśród fontann pracowicie wygrzebywanej ziemi, triumfalnie powiewał psi ogon. Nieco wcześniej Amber rozniosła okazałą stertę liści i gałęzi po całym trawniku.

- Chodź, ty burku! Do domu! Muszę wziąć prysznic i przygotować się do pracy.

Przystanąła, by choć przez chwilę cieszyć się pięknym, wiosennym dniem. Z żalem pomyślała, że będzie już ciemno, kiedy wróci z pracy.

Ubierając się, myślami była już przy swoich pacjentach.

- Jak mi ulżyło, pani doktor., -Kobieta uśmiechała się przez łzy. -
Tak się bałam, czekając na wyniki... Chciałam nawet do pani zadzwonić,
żeby po nie nie przychodzić...

- To zrozumiałe. Ja też wolałabym płakać gdzie indziej niż w
poczekalni pełnej ludzi.

- Cieszę się jednak, że przyszłam. - Kobieta zerknęła na opinię
specjalisty. - Nie przyszłoby mi do głowy, że to może być - przeczytała -
„bezobjawowe zapalenie gruczołu sutkowego”. Ostatni raz karmiłam
piersią piętnaście lat temu.

- Ale wtedy cierpiała pani na to samo schorzenie. Prawdopodobnie
zaszkodziły pani wiosenne, porządki. Jak się pani teraz czuje?

- Nieco lepiej, od kiedy nie zdejmuję zasłon i nie myję ścian -
zażartowała. - Pomógł mi też ten antybiotyk, który przepisano mi w
szpitalu. Guzek robi się coraz mniejszy i coraz mniej bolesny.

- No proszę! -Sally uśmiechnęła się. - Jak wynika z tej opinii,
pobrany płyn nie zawierał żadnych komórek nowotworowych. Może pani
z czystym sumieniem wymagać od męża, żeby wykonywał wszystkie
ciężkie prace!

- Nie wiem, jak mam pani doktor dziękować, że trwało to tak krótko.
Gdybym musiała długo czekać na wizytę, chyba-bym oszalała.

Sally z uśmiechem odebrała pacjentce dokument i wsunęła go do jej
karty.

- W pani przypadku pośpiech był wskazany, ale proszę pamiętać, że
wolę takie fałszywe alarmy jak ten, niż żebyśmy przeoczyły coś ważnego,
tylko dlatego że nie chciała mi pani sprawiać kłopotu.

- Rozumiem. Wiem już, jak ważne jest wczesne rozpoznanie. Nie mam zamiaru siedzieć w domu i zamartwiać się, aż będzie za późno.

Po wyjściu pacjentki Sally poczuła wielką ulgę, że problem okazał się niezbyt poważny. Druga sprawa, która nie dawała jej spokoju, nie zapowiadała się równie optymistycznie. Był to przypadek białaczki limfatycznej wykrytej u bladego młodzieńca, którego jakiś czas temu wysłała na badania.

Chłopaka poddano już chemoterapii w nadziei na remisję, lecz Sally wiedziała, że jego wiek nie rokuję najlepiej. Statystycznie miał sześćdziesiąt procent szans w porównaniu z dziewięćdziesięcioma w przypadku młodszych chorych.

Można było liczyć jedynie na jego determinację i chęć pokonania choroby, które bardzo często czynią cuda.

- Doktor Webster... - W słuchawce zabrzmiał głos Wendy. - Jest do pani telefon. Dzwoni mała Emma Barber. Mówi, że to bardzo pilne.

- Proszę ją przełączyć.

- Halo? - zapytał dziecinny głosik.

- Czy to ty, Emmo? Mówi doktor Webster. Potrzebujesz pomocy?

- Ja nie, ale tatuś i mamusia. Oni bardzo cierpią. - Czy któreś z nich może podejść do telefonu?

- N-nie. - Głosik załamał się. - Oni nic nie mówią... Sally podniosła wzrok na Wendy, która podawała jej dwie koperty z nazwiskiem Barber.

- Muszę ci zadać kilka pytań. Ile masz lat?

- W grudniopadzie skończę sześć.

Sally nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale musiała zdobyć jeszcze jedną informację.

- Czy znasz adres domu, w którym mieszkasz?

- Tak. Monk's Walk jednaście.

- Jaka ty jesteś mądra! - Wendy już wzywała karetkę.

- Zrobisz coś dla mnie, Emmo?

- A co?

- Za kilka minut będę pod twoim domem. Wpuścisz mnie do środka?

- Nie, nie mogę. - Głosik zabrzmiał bardzo stanowczo.

- Mama nie pozwala mi wpuszczać nikogo bez jej pozwolenia, żeby nie wszedł nikt obcy.

- Twoja mama ma rację, ale tym razem nie może ci pozwolić...

Sally zawahała się. Mała słusznie nie chciała jej otworzyć drzwi. Jak ją przekonać? Nagle doznała olśnienia. -Emmo, jesteś tam?

- Tak.

- Jak do was przyjadę, będę rozmawiać z tobą przez drzwi. Jeżeli teraz powiesz mi jakiś sekret, a ja ci go potem powtórzę, będziesz wiedziała, że to jestem ja. Co ty na to?

- Jaki sekret? - zainteresowała się dziewczynka.

- Masz jakieś zwierzątko w domu? -Nie.

- A ulubioną zabawkę? Misia, z którym śpisz?

- Ja śpię z moją najlepszą lalką.

- Jak ona ma na imię?

- Araminta.

- Araminta?

- Tak. Ma długie, żółte włosy. Jak ja.

- Wobec tego jak do was przyjadę i powiem, że przyszedłam w odwiedziny do Araminty, poznasz, że to jest ten nasz sekret i że przyszedłam pomóc twoim rodzicom.

- Dobrze - powiedziała Emma i odłożyła słuchawkę.

- Wendy, przeproś pacjentów w moim imieniu - rzuciła Sally, wybiegając z kartami Barberów. - Skontaktuję się z tobą, gdy tylko coś będę wiedziała.

Sally i karetka spotkały się przed domem Emmy. Serce Sally zadrżało nieprzyzwoicie na widok Luke'a, który właśnie podbiegał do drzwi domu numer jedenaście.

- Luke! - zawołała półgłosem, zanim nacisnął guzik dzwonka. - Zaczekaj! - Chwyliła torbę i przebiegła przez trawnik.

- O co chodzi?! - On także zniżył głos.

- Za tymi drzwiami jest pięcioletnia dziewczynka, nauczona, że nie wolno jej wpuszczać obcych.

- Och! Co z tym zrobimy?

- Pobawimy się w czary. - Położyła palec na wargach, aby przez chwilę się nie odzywał. - Emma? Jesteś tam?

- Tak - odpowiedział drżący głosik.

- Czy pamiętasz, jak rozmawiałeś ze mną przez telefon kilka minut temu?

- Jesteś panią doktor?

- Tak. Jestem panią doktor. Pamiętasz ten sekret, który pozwoli ci otworzyć drzwi?

- Tak.

- Czy jest z tobą Araminta?

- Tak.

- Przyszłam w odwiedziny do Araminty. Otworzysz mi drzwi? -

Sally zacisnęła kciuki i spojrzała na zdumioną twarz Luke'a.

- To był nasz sekret, prawda? - Sceniczny szept wydobywał się na wysokości szpary na listy.

- Tak, Emmo.

Zapadła cisza. Sally pomyślała, że być może Luke będzie musiał wybić szybę, lecz w pewnej chwili usłyszała trzask zamka i drzwi zaczęły się otwierać. Najpierw ich oczom ukazał się kuchenny taboret.

- Chwileczkę - wysapała dziewczynka. - Musiałam przynieść stołek, bo zamek jest za wysoko.

- Jesteś bardzo mądrą dziewczynką, Emmo. Rodzice będą z ciebie dumni.

W uchylonych drzwiach ukazała się zaniepokojona twarzyczka. W jednej ręce dziewczynka ścisnęła lalkę.

- Ciągłe nie chcą ze mną rozmawiać. Robią takie dziwne dźwięki i inaczej oddychają....

- Zaprowadzisz nas do nich, skarbie? - Luke musiał przykucnąć, żeby z nią rozmawiać. Emma zobaczyła go dopiero teraz.

- Kim pan jest? Pan nie zna naszego sekretu.

- Jestem przyjacielem pani doktor. Przyszedłem pomóc jej zaopiekować się twoimi rodzicami.

- Aha, to dobrze.

Mała ufny krokiem ruszyła po schodach na górę.

- O matko! - jęknęła Sally na widok stanu, w jakim były schody i łazienka. Przytuliła dziewczynkę, gdy Luke podszedł, aby zbadać

pacjentów. — Wygląda na zatrucie. Co ty na to? - szepnęła tak, by dziewczynka nie słyszała.

Spojrzał na nią, sprawdzających oddech, ściągnął brwi i przytaknął.

- Ponieważ małej nic nie jest, nie będzie to nic, co jest w powietrzu.

Wygląda na to, że tylko oni czegoś się najedli.

- Powiedz mi, Emmo, kiedy rodzice zaczęli tak chorować? Rano?

Nie. - Energicznie potrząsnęła złotymi lokami. - Najpierw poszliśmy po zakupy, a potem wróciliśmy i zjedliśmy kolację.

- Pamiętasz, co było na kolację?

Zadawała pytania, jednocześnie obserwując, jak Luke sprawnie podłącza chorym kroplówki, wykorzystując klamki i kurki do zawieszenia pojemników z płynem.

- Ja jadłam kurczaka i frytki.

- Rodzice jedli to samo?

- Kurczaka, ale mama ugotowała ziemniaki dla siebie i taty. W kuchence mi-kro-fa-lowej.

- A ty dlaczego nie jadłaś ziemniaków?

- Bo ja nie lubię skórek...

- Oczka! - mruknął Luke - Zatrucie solaniną z zielonych łupin. Mają wszystkie typowe objawy. Ostry nieżyt żołądka i jelit, szok...

- Dzięki Bogu Emma zawiadomiła nas, zanim wystąpiła apnea.

Sally celowo użyła obcego wyrazu. Nie chciała, żeby dziecko domyśliło się, jak niewiele brakowało, by na zawsze przestali oddychać.

- Zapakujemy ich do karetki i zawiadomimy ostry dyżur. - Luke pomagał Jeffowi przenieść matkę Emmy na specjalny fotel, który

stosowano tam, gdzie nie mieściły się nosze. - Zanim dojedziemy, zdążą się skonsultować z ośrodkiem toksykologii w sprawie odtrutki.

Podczas gdy chorych przenoszono do karetki, podeszło do niej kilku zaciekawionych sąsiadów. Sąsiadka z przeciwka wybiegła z domu na widok Sally, która wyprowadzała Emmę.

- Nazywam się Jane Thornton. Moja córka chodzi z Emmą do tej samej klasy. Czy mogę w czymś pomóc?

- Czy Emma ma rodzinę w tej dzielnicy? - Sally bardzo zależało na tym, aby ktoś zaopiekował się dziewczynką.

- O nikim takim nie słyszałam. - Sąsiadka potrząsnęła głową. - Przyjaźnimy się, ale nigdy nie było mowy o żadnych krewnych.

- Czy to znaczy, że Emma dobrze zna pani rodzinę?

- Ależ tak! - Kobieta rozpromieniła się na chwilę. - Nasze dziewczynki zawsze się razem bawią. Emma może u nas mieszkać, aż John i Caroline wrócą do domu.

- To najlepsze rozwiązanie. Proszę mi podać numer telefonu. Zawiadomię państwa, kiedy Emma będzie mogła odwiedzić rodziców w szpitalu. Na pewno będzie się o nich niepokoiła nie mniej niż oni o nią. - Sally puściła drobną rączkę i pani Thornton porwała Emmę w ramiona. - Powiemy mamie i tacie, że postąpiłaś jak prawdziwa bohaterka.

Kątem oka Sally zobaczyła, że Jeff zamyka drzwi karetki. Luke odjeżdżał z pacjentami. Pożegnała się z Emmą i panią Thornton.

Wracała do gabinetu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zmieszonym z pewną dozą żalu, że nie miała okazji porozmawiać z Lukiem. Prowadzili intensywne życie zawodowe, a te krótkie chwile, które

spędzali razem, często burzyło poczucie odpowiedzialności za los innych ludzi.

Jakie to dziwne, myślała wracając do domu tego wieczoru, że już w kilka tygodni po tym, jak wymknęła się sytuacji nie do zniesienia z postanowieniem, że nie chce mieć nic wspólnego z mężczyznami, tak gwałtownie szuka okazji, by spotkać się z jednym z nich.

Wjechała tyłem na podjazd, wyłączyła silnik i zmęczona wyprostowała plecy. Czeka ją jeszcze przygotowanie kolacji i zatroszczenie się o Amber, zanim...

- Och! - krzyknęła przerażona, gdy ktoś otworzył drzwiczki.

Usłyszała niski głos:

- Zamierzasz tu spać? A może zainteresuje cię domowa kolacja?

- Luke! Ale mnie przestraszyłeś! - Serce biło jej jak oszalałe, Sama nie wiedziała, czy to ze strachu, czy z radości. - Domowa kolacja?! W czyim domu i kto ją przygotowuje?

- Oj, wy ludzie małej wiary... Czuję się głęboko zraniony. Zapraszam cię do mnie, a tam wszystko jest już gotowe. Brakuje tylko ciebie.

- Czy mogę przedtem nakarmić psa i się przebrać? Tak długo chodzę w tym samym ubraniu, iż czasami mam wrażenie, że do mnie przyrosło.

- Nie ma sprawy. - Podał jej ramię.

Jego dotyk sprawił, że nie wiedziała, czy będzie w stanie utrzymać się na nogach.

- Dzięki - szepnęła, chwytając torbę.

Rozdygotana weszła pod prysznic. Nie chciała wkładać czystych części garderoby na spocone ciało. Wycierając się walczyła z pokusą, by

dla Luke'a ubrać się szczególnie starannie. W końcu jednak postanowiła włożyć bluzę i dzinsy.

- Gotowa? - zapytał, gdy pojawiła się w kuchni. - Kiedy byłaś w łazience, nakarmiłem Amber.

Powiedział to niemal nonszalanckim tonem, lecz Sally dostrzegła szczególny błysk w jego oczach. Poczowała, jak ciepło rozlewa się wokół jej serca, które na zawsze miało pozostać lodowate.

- Gotowa.

Sięgnęła po kurtkę i torbę i nagle zdała sobie sprawę, że Luke po raz pierwszy zaprasza ją na swoje terytorium.

Była bardzo przejęta. Czy to znaczy, że ufa jej na tyle, by pozwolić jej na przekroczenie barier, którymi się otoczył?

Pomyślała, że mają wiele wspólnych cech, nie tylko w kwestiach zawodowych... Miała już sporo dowodów na to, że potrafią razem pracować.

Muszą jeszcze bardzo dużo dowiedzieć się o sobie nawzajem, muszą poznać swoje marzenia i lęki, sukcesy i porażki... Muszą posiąść wiedzę, która stanie się podstawą długotrwałego związku.

Wzięła głęboki oddech i, czując się nader niepewnie, podała mu kluczyki.

- Dzisiaj możesz być moim szoferem - oznajmiła z uśmiechem. - Mam ochotę być wielką panią.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Odbierając z jej ręki kluczyki, zrobił głęboki ukłon i musnął palcami jej dłoń. - Proszę wsiadać, madame. Zawiozę panią tam, gdzie na nią czeka nektar i ambrozja. - Otworzył przed nią drzwi i ponownie nisko się ukłonił.

Nerwowy chichot Sally popsuł cały efekt: bała się, że jeżeli Luke jeszcze raz jej dotknie, to ona się skompromituje, mdlejąc mu u stóp.

- Idiotka! Mimoza! - wyrzucała sobie, sadowiąc się w samochodzie. - Zachowuj się przyzwoicie - mruknęła. Widząc podniesione uszy psa, zdała sobie sprawę z tego, że mówi głośno.

To jest tylko zaproszenie na kolację, upominała się już po cichu. Ciesz się z tego i nie trać głowy. Nie zaprosił cię po to, by cię uwieść... Szkoda...

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Luke! Jak tu pięknie! - zawołała, rozglądając się po całym pokoju. - Sam to wszystko zrobiłeś?!

Podziwiała ściany barwy kości słoniowej, błękitne zasłony i meble obite rdzawą tkaniną.

Całość ożywiały rośliny w starannie dobranych doniczkach. Głęboka zieleń liści i różnorodność kwiatów wyglądała oszałamiająco na tle jasnych ścian.

- Tak - odparł, udając obojętność.

Sally jednak wiedziała, że jej zachwyty sprawia mu przyjemność. Ukryła uśmiech, zwracając się ku największej grupie roślin ustawionej w rogu pokoju.

- Czy to jest to samo, co mi dałeś?

Pochyliła się, podziwiając różne kształty kwiatów.

- Większość. - Chciał podejść bliżej, lecz na jego drodze stanął pies, który także dokonywał inspekcji pomieszczenia. - O co chodzi, Amber? - Przykucnął i podrapał sukę za uchem.

- Nie wie, gdzie wolno jej się położyć - wyjaśniła Sally. - Zdaje się, że zostało jej to po poprzednim właścicielu. Czeka, aż jej pokażesz, gdzie jest jej miejsce.

- To żaden problem. - Wyprostował się i strzelił palcami, wskazując psu puszysty dywanik przed nie zapalonym kominkiem. - Dobry piesek. Siad.

Amber natychmiast usiadła we wskazanym miejscu, po czym z przeciągłym sapnięciem wyciągnęła się jak długa. Luke roześmiał się.

- Zdaje się, że było to westchnienie ulgi.

- Niezła z niej aktorka. Uwielbia popisywać się przed dziećmi. -

Sally była wdzięczna psu za to, że swoją obecnością rozładował narastające w niej napięcie.

- Powiedziałaś kiedyś, że nie ufa mężczyznom.

- To mało powiedziane. Odkąd jest ze mną, jesteś pierwszy, któremu pozwoliła się dotknąć. Spotkał cię wielki zaszczyt.

- Znasz to powiedzenie o psach i dzieciach? Ich opinia jest niezawodna, ponieważ bardzo trudno je oszukać.

Sally szukała właśnie stosownej odpowiedzi, kiedy nagle głośno zaburczało jej w brzuchu.

- Jak ty możesz żyć bez jedzenia?! - zawołał Luke. - Rozłóż sztucce, a ja zaraz coś podam. Zjemy przy stole w kuchni.

Kolacja była wyśmienita: soczysty melon z Szyneką parmeńską, zrazy wołowe z jarzynami i sałatka owocowa. Sally z uczuciem sytości odchyliła się na krześle.

- Kawa?

- Poproszę, chociaż nie wiem, gdzie ją zmieszczę. Luke sprzątał puste talerze.

- Ktoś, kto pracuje tak jak ty, musi porządnie się odżywiać.

- Nie odżywiałam się tak porządnie od... Sama nie wiem od kiedy.

Odwróciła wzrok na przykre wspomnienie innej kolacji w innym towarzystwie, po której pozostał jej tylko niesmak. Wstała i sięgnęła po

puste kieliszki, ponieważ poczuła, że musi się czymś zająć, aby zapomnieć o stracie i o zdradzie.

- Co się stało? - Luke delikatnie ujął ją pod brodę i spojrzał prosto w oczy. - Od kiedy cię poznałem, już kilka razy zachowałeś się w ten sposób. Co to znaczy?

- Jak się zachowałam?

- Rozmawiasz, uśmiechasz się i nagle mam wrażenie, że coś ci się przypomina... Coś przykrego. Jakby chmura zakryła słońce.

Potrząsnęła głową, przeklinając w duchu jego spostrzegawczość i intuicję.

- Nie musisz nic mówić, ale jeżeli masz ochotę opowiedzieć, chętnie wysłucham.

Zajął się sprzątaniami ze stołu. Sally była na granicy łez: nie z powodu Briana i zawodu, jaki jej sprawił, lecz z powodu Luke'a i jego troskliwości.

- Ty na mnie też możesz liczyć - szepnęła, tłumiąc łzy. Popatrzył na nią. - Zdaje się, że jesteśmy w podobnej sytuacji: żadne z nas nie ma się komu wyzalic - wyjaśniła. - Czy możemy się, umówić, że ty wysłuchasz mnie, a ja ciebie?

W milczeniu patrzyli sobie w oczy. Sally zdała sobie sprawę, że Luke starannie waży jej słowa. Gdy w końcu skinął głową, poczuła wielką ulgę, jak po ważnym teście.

- Przenieś się na kanapę - zaproponował. - Zrobię kawę i wstawię naczynia do zmywarki.

-Mogę ci pomóc?

- Nie - oświadczył stanowczym tonem. - Jesteś teraz wielką panią, zapomniałaś? Idź do salonu i usiądź sobie wygodnie.

Sally rozsiadła się na błękitnej kanapie w ciepłym blasku stojącej lampy.

Pies uniósł łeb, leniwie machnął ogonem, po czym znowu ułożył pysk między łapami i przymknął oczy.

- Przelałem kawę do dzbanka, żebyśmy ją mieli pod ręką. - Luke wszedł bezszelestnie i postawił tacę na okrągłym stoliku, odsuwając na bok jedną z niezliczonych doniczek.

Usadowił się w drugim rogu kanapy, wyciągnął długie nogi i oparł głowę na poduszce.

Sally poczuła, że ta intymna atmosfera staje się nie do wytrzymania: ich dwoje na kanapie po obfitej kolacji i pies wyciągnięty u stóp. Ziściło się jej marzenie, marzenie, które Brian zniszczył tak brutalnie, i którego wyparła się już na zawsze.

- Te kwiaty... - Z niezadowoleniem usłyszała napięcie w swoim głosie, ale dłużej już nie potrafiła znieść ciszy. - Czy to naprawdę jest ten sam gatunek?

- Większość - odparł jak poprzednio i powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. - Kiedy zainteresowało mnie hodowanie czegoś, postanowiłem zająć się kwitnącymi sukulentami.

- Dlaczego?

Zdołała wykrztusić rzeczowe pytanie na temat jego wyboru, chociaż w rzeczywistości pragnęła dowiedzieć się, dlaczego brakuje jej tchu. Dlaczego serce bije jej tak mocno? Dlaczego tak bardzo działają na nią siła i ciepło bijące od tego człowieka?

- Potrafią mi wybaczyć, kiedy o nich zapominam na dzień lub dwa.

To konkretne wyjaśnienie dodało Sally sił. Skupiła się na jego słowach zamiast na zapachu jego mydła i erotycznej aurze, jaka zdawała się ich otaczać.

- W naturalnych warunkach deszcz nie podlewa ich regularnie, więc niewielkie zaniedbania z mojej strony nie kończą się katastrofą. Kwitną bez przerwy.

Pochylił się nad nią, aby skubnąć wyblakły kwiat i mimo woli dotknął nogą jej kolana. Odsunęła się gwałtownie.

- Przepraszam. - Wyprostował się i odsunął nogi na bezpieczną odległość. - Masz już miejsce na kawę? - zapytał zdławionym głosem.

Zanim zdążył się odwrócić, dostrzegła cień żalu na jego twarzy. Poczuli się strasznie, uświadamiając sobie, że zawiniła jej reakcja.

- Luke! - krzyknęła wiedziona współczuciem. Powoli odwrócił głowę w jej kierunku.

- Słucham.

Na widok jego posępnej miny Sally poczuła, że boi się odezwać.

- Przepraszam... -Zabrakło jej słów.

- Nic się nie stało. - Westchnął. - Trudno panować nad odruchami. Jeżeli nie chcesz, żeby ktoś wchodził na twoje terytorium...

- Wcale nie! - Położyła dłoń na jego opalonej ręce, poniżej rękawa, który podwinął, wstawiając naczynia do zmywarki. - To nie jest tak!

- Wątpię. - Odsunął rękę i zrobił ruch, jakby zamierzał ponownie odwrócić się od Sally.

- Wręcz przeciwnie...

Słowa te popłynęły prosto z serca, omijając cenzurę rozumu Umilkła przerażona tym wyznaniem. Czuła, że się czerwieni.

- Wytłumacz to - zażądał, patrząc jej prosto w oczy.

- Ja... ty... to tak nagle... -jąkała się. -Ja nie... jeszcze nigdy... -

Potrząsnęła bezradnie głową.

- Sally? - szepnął, zmuszając ją, by oderwała wzrok od kurczowo zaciśniętych palców. Bez słów wyciągnął w jej kierunku rękę. Patrzyła jak urzeczona na tę szeroką, pociętą liniami dłoni, na długie, szczupłe palce.

Czując, że przenika ją dreszcz, podniosła wzrok.

- Luke? - szepnęła niepewnie, sparaliżowana tęsknotą, jaka pojawiła się w jego spojrzeniu. Niemal bezwiednie podała mu dłoń. Ich palce splotły się kurczowo.

- Och, Sally... Ja czuję to samo... tak nagle. Czuję to nawet wtedy, kiedy cię nie dotykam.

Gładził swój policzek jej palcami. Przymknął powieki, aby jeszcze bardziej delektować się tym doznaniem.

- Ty jesteś taki... Jeszcze nigdy... tak się nie czułam. Nie wiem, co się ze mną dzieje, dlaczego.

Milczał przez chwilę, po czym jego źrenice zrobiły się tak ogromne, że otaczała je tylko wąska obwódka tęczówek.

- Chcesz powiedzieć... że nie wiesz, co to jest pożądanie? Nigdy nie pragnęłaś żadnego mężczyzny tak bardzo, że... ?

Przytaknęła, opuszczając powieki. Niespodziewanie Luke zaczął się śmiać. Sally wyrwała dłoń, czując, że jej policzki płoną, a oczy napełniają się łzami.

- Przestań, Luke - wykrztusiła. - Nie spodziewałam się, że będziesz ze mnie drwił. - Chciała wstać z kanapy, odwracając wzrok, jakby Luke nagle przemienił się w jakiegoś obrzydliwego robaka.

- Idiotyzm! - parsknęła, chwytając ją za ramię w chwili, gdy właśnie się wyprostowała. Opadła z powrotem na kanapę tuż obok niego.

- Luke! - Starła się odsunąć. - Puść mnie.

Z trudem chwyciła powietrze. Bała się, że nie zdąży uciec i zaleje się łzami.

- Nie. - Objął ją mocno, aż pięściami dotknęła jego piersi.

- Nie puszcze cię, dopóki mi nie wyjaśnisz.

- Co mam ci wyjaśniać? - warknęła. - Mam powiedzieć, że wyciągnąłeś mnie na zwierzenia po to, żeby się ze mnie śmiać? - Zagryzła wargi, aby opanować ich drzenie, cały czas czując łzy, które wzbierały jej pod powiekami.

- Nie - szepnął i ułożył jej głowę na swoim ramieniu.

- Nie śmiałem się z ciebie, tylko z sytuacji.

- Jakiej sytuacji? - zapytała wzburzona.

- Rozbawiło mnie to, że oboje jesteśmy w podobnym położeniu, ale z całkiem różnych powodów.

Sally nie była w stanie domyślić się, co by to mogło znaczyć. Być może jego wyjątkowy zapach nie pozwalał jej skupić myśli.

- W jakiej sytuacji?

- Z jakiegoś powodu nie przekroczyłaś jeszcze pewnej bariery intymności w stosunkach z mężczyznami - starannie dobierał słowa - ja natomiast...

Urwał. Sally milczała, czując, że jeżeli pozwoli mu mówić, dowie się czegoś bardzo ważnego.

Zauważyła, że Luke głęboko odetchnął, jakby zbierał wszystkie siły.

- Odnoszę wrażenie, że już kiedyś przez to przeszedłem, chociaż nie przypominam sobie, żeby mi się to faktycznie przydarzyło.

Sally zmartwiała, pojmując znaczenie tych słów. Czuła, że i Luke jest cały w napięciu, jakby czekał na wybuch.

Nagle parsknęła, rozbawiona absurdalnością tej sytuacji. Oboje wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Przyłączył się do nich pies, który popiskując i poszczekując, próbował wsunąć między nich swój nos.

- Wszystko w porządku, Amber - wykrztusiła Sally. -Dobry piesek. Siad! - Opadła wyczerpana na pierś Luke'a.

- Przepraszam, że zraniłem twoje uczucia - wyszeptał w gęstwinę jej włosów - Powiniennem być jaśniej to powiedzieć.

- Ile czasu upłynęło od tego wypadku? - zapytała, odzyskując zdolność rzeczowego myślenia.

- Cztery lata - odparł zwięźle. -I, uprzedzając następne pytanie, już na nie odpowiadam; nie, przez ten czas ani razu.

Milczała. Czując, jak tężeją jego mięśnie, wiedziała już, że musi dać mu czas do namysłu.

- Nawet nie miałem na to ochoty - powiedział półgłosem. - Aż do spotkania z tobą.

Podniosła głowę i ujrzała w jego oczach niepokój. - Luke...

Przyłożyła dłoń do jego policzka. Nakrył ją swoją ręką, przesunął i w samym jej środku złożył pocałunek. Zacisnął jej palce, jakby chciał, by zatrzymała to ciepło.

Jego bezbronność rozwiąła wszystkie jej zastrzeżenia, więc kiedy powoli odwrócił twarz w jej kierunku, nie zawahała się. Czekwała, by ją pocałował. Ich wargi niespiesznie spotykały się raz po raz.

Potem całowali się tak, że w końcu bez sił opadli na poduszki. Stopniowo ich oddech stawał się coraz równiejszy, serca wracały do normalnego rytmu, aż westchnęli oboje niemal w tej samej chwili.

- Już wiem, czego mi brakowało - szepnął. - To lepsze, niż myślałem... - Przytulił ją.

Sally po raz pierwszy od kilku miesięcy odczuwała całkowity spokój. Było jej tak dobrze, że teraz, znużona wydarzeniami dnia, prawie zasypiała.

- Hej! - Delikatny pocałunek w czoło wyrwał ją z tego stanu. - Obudź się, maja śpiąca królowo! Pora odwiedzić Amber do domu.

Wracała do rzeczywistości, czując na sobie jego spojrzenie. Przyciągnęła jego głowę, domagając się kolejnego pocałunku.

- Dziękuję ci - szepnęła, przymykając oczy. Wiedziała, że już dłużej nie jest w stanie się opierać. Gdyby teraz spojrzała mu w oczy, ujrzałaby w nich jej najnowsze odkrycie: uczucie bezgranicznej miłości.

W połowie drogi do domu Sally zjechała na pobocze i wyłączyła silnik.

Posprzeczała się z Lukiem na temat samotnego powrotu do domu, ale była tak przejęta wrażeniami tego wieczoru, że dłużej nie była w stanie przebywać w jego towarzystwie. Chciała sobie wszystko przemyśleć. Potrzebowała czasu, aby zastanowić się nad tym nowym uczuciem, które właśnie przed chwilą odkryła w ramionach Luke'a.

Włączyła silnik, kiedy niespodziewanie rozległ się sygnał telefonu komórkowego.

- Doktor Webster, słucham - odezwała się, przyciskając wolną dłoń do serca, które waliło jak młotem.

- Wypadek na wielopoziomowym parkingu za rynkiem. Chłopak, który ukradł auto, uwięziony w rozbitym samochodzie. - Męski głos rzeczowym tonem przekazywał informacje. - Wezwano już policję, straż pożarną i karetkę.

- Już jadę - zameldowała Sally i zanim odłożyła słuchawkę, wrzuciła pierwszy bieg. - Trzymaj się, Amber - mruknęła, biorąc ostry zakręt. - Wracamy do pracy.

O tej porze ruch na ulicach był niewielki, a ponadto wszyscy kierowcy ustępowali jej z drogi, widząc we wstecznych lusterkach jej światła.

Na chwilę włączyła syrenę, aby uprzedzić ekipy ratownicze o swoim przybyciu. Z daleka zauważyła policjanta, który czekał na nią przed parkingiem.

Widok, jaki ukazał się jej oczom, przypominał scenę z koszmarne filmu. Zaparkowała tuż za wozem policyjnym.

W niebieskim blasku świateł ostrzegawczych majaczył w mroku wrak stalowoszarego mercedesa. Dopiero jednak policyjne reflektory w pełni ukazały rozmiary zderzenia.

Kierowca musiał jechać z zawrotną prędkością, skoro tak źle ocenił zakręt, ponieważ auto, uderzając w betonowy murek, wbiło się pod żelazną barierkę i zawisło dwoma kołami w powietrzu na najwyższym

poziomie parkingu. Uderzenie wgniotło dach równo z dolną krawędzią okien.

- Ile tam jest osób? - rzuciła, wkładając kurtkę.

- Jedna. Drugą już wydostaliśmy. Chłopak jest ranny, ale i tak próbował nam zwać. - Młoda policjantka, która prowadziła Sally do swojego przełożonego, była bardzo blada.

Przedstawiając się, Sally zauważyła, że przełożonym jest ten sam policjant, którego poznała, gdy w poprzednim wypadku ratowała ciężarną.

- Gdzie on jest? - Szła u jego boku wzdłuż barierki, z daleka oceniając pogięte boki auta i zastanawiając się, co ją czeka.

- Zdaje się, że na miejscu kierowcy. Trudno coś powiedzieć, bo dach jest wgnieciony.

- Czy ktoś już przy nim był?

- Nie można się tam dostać. Udało się nam wyrwać tylne drzwi za siedzeniem pasażera i tak wydostaliśmy tego pierwszego chłopaka. Żeby dostać się do jego kolegi, trzeba najpierw ściągnąć auto w bezpieczne miejsce.

- Może być za późno. Jeżeli odniósł poważne obrażenia, liczy się każda minuta.

Uzmysłowiła sobie, że jej pospieszny wyjazd od Luke'a też miał związek z czasem. Potrzebowała go, by zebrać myśli. Czas tego młodego złodziejaska może już dobiegać kresu.

- Czy można założyć łańcuch?- zapytała akurat w chwili, gdy dołączył do nich oficer straży pożarnej.

- Co? - Zamrugął powiekami. - Gdzie? Po co?

- Na tył auta, żeby było bardziej stabilne. - Pospiesznie zdejmowała kurtkę, przewidując, że okaże się za gruba, gdy trzeba będzie wcisnąć się do wnętrza samochodu.

- Po co?! - powtórzył.

- Żeby nie spadło na drugą stronę, jak do niego wsiądem.

- Wykluczone! -Nie pozwolę!

Strażak i policjant zareagowali jednocześnie.

- Panowie! - Podniosła głos. - Dziękuję za troskę, ale dopiero gdy ja wykonam swoją robotę, dowiecie się, czy wasza ma jakikolwiek sens. Jeżeli nie założycie tego łańcucha, może okazać się, że jest już za późno.

Pochyliła się nad torbą. Za jej plecami rozgorzała dyskusja, która ostatecznie doprowadziła do założenia łańcucha. Wyprostowała się akurat w chwili, gdy wyciągarka zaciskała go na jakimś elemencie podwozia. Strażak dał Sally znak, że może wkroczyć do akcji.

- Ostrożnie... - Pielęgniarski chwycił ją za rękę. - Niech pani nie ryzykuje własnego życia.

Kiwnęła głową i ruszyła przez kałużę benzyny i wody, która rozpełzła się po brudnoszarym betonie. Poczowała zapach paliwa.

- Czy może pan wszystko uciszyć, jak już będę w środku? Muszę sprawdzić, czy oddycha.

- Nie ma sprawy.

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszała, zanim zaczęła wciskać się pod wgnieciony dach po wytwornej tapicerce tylnego siedzenia.

- Słyszysz mnie? - zapytała. - Jestem lekarzem. Jak masz na imię?

Brak odpowiedzi. Słyszała jedynie cykanie stygnącego metalu i skrzypienie łańcucha.

Pamiętając o konieczności jak najoszczędniejszych ruchów, ostrożnie przesunęła się ku przerwie między przednimi fotelami. Znieruchomiała na moment, czując chybotanie samochodu.

Przez gumową rękawiczkę poczuła fakturę tkaniny. Upewniła się, że nie jest to pokrycie siedzenia. Podciągnęła się jeszcze trochę, aż dotknęła ramienia. Odnalazła dłoń.

- Jak idzie? - zawołał pielęgniarz. Jego głos brzmiał nieprzyjemnie głucho.

Dotarłam do niego, ale nie wyczuwam tętna. Przesuwała rękę ku górze, by dotrzeć do tętnicy szyjnej.

- O Boże.., - Zamarła z przerażenia. - O Boże! Cofnęła rękę. Pomimo mroku, we wnętrzu rozbitego auta dostrzegła ciemną plamę krwi. Dużo krwi.

- Co z nim jest? Coś pani podać?

Głos pielęgniarza nie docierał do niej, kiedy wycofywała się na zewnątrz. W końcu pod stopami poczuła beton. Kiedy już mogła stanąć, zacisnęła pięści, aby ukryć wstrząsające wrażenie, jakie zrobiło na niej to odkrycie.

- Co mu jest? Co pani stwierdziła?

Pielęgniarz chwycił ją za ramię. Opanowała się i spojrzała na jego zaniepokojoną twarz.

- Nie muszą się spieszyć ze zdejmowaniem tego samochodu. - Zaczerpnęła powietrza. - Już nic mu nie pomoże. - W skupieniu zdejmowała rękawiczki.

Nie musiała czekać na potwierdzenie diagnozy, aż ekipa ściągnie mercedesa. Zmysł dotyku przekazał jej wyobraźni dokładny obraz.

- Pani doktor... - W głosie pielęgniarza zabrzmiał niepokój. -

Wygląda pani okropnie. Co tam jest?

- Powiedziałabym, że to kwestia tego, czego tam nie ma. - Z trudem powstrzymywała mdłości. - Odcięło mu głowę...

Idiotycznie zmarnowane życie! Siedziała w ciemnościach, ściskając drugi już kubek gorącego mleka. Nawet spory dodatek brandy nie pomógł jej zasnąć.

Amber robiła wszystko, by pocieszyć swoją panią. Wkroczyła nawet na zakazany teren kanapy i leżała teraz, położywszy łeb na jej kolanach.

Sally gładziła jedwabistą sierść, wdzięczna psu za jego obecność w takiej chwili. Makabryczne wspomnienie tego wypadku byłoby bez Amber nie do zniesienia.

Mimo że już nieraz spotkała się ze śmiercią, która nie uznaje wieku ani pozycji społecznej, ta śmierć wydała się jej wyjątkowo bezsensowna. Oto młody człowiek, który ma całe życie przed sobą, odrzuca je dla wątpliwej przyjemności dreszczyku ryzykownej przygody w skradzionym samochodzie.

Co za głupota... Dopiła mleko i powlokła się do zlewu, żeby odstawić kubek. Stukanie pazurów Amber o podłogę uświadomiło jej, że pies idzie tuż za nią.

- Przepraszam, że nie dałam ci spać. - Przykucnęła przy pościeli i pogładziła psa. - Dzięki za cierpliwość. - Wyprostowała się i ruszyła do sypialni. Jedynym środkiem nasennym będzie tej nocy zmęczenie.

Gdzie ten czas na rozmyślenia? O tej porze jest go mnóstwo, ale już nie warto o niczym myśleć... Przewracała się, szukając odpowiedniej

pozycji. Przypomniała sobie poczucie bezpieczeństwa, jakiego zaznała w objęciach Luke'a.

- Gdyby Luke tu był, na pewno bym zasnęła - mruknęła. -Ha! -
dodała. - Gdyby Luke Nemo był teraz w moim łóżku, na pewno bym nie
spała...

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wizyty pacjentów wlokły się w nieskończoność. Takie uczucie ma się szczególnie po zarwanej nocy.

Sally budziła się kilkakrotnie i roztrzęsiona, ponownie przeżywała chwilę, w której odkryła, dlaczego nie może znaleźć tętna u tego chłopaka.

- Dzień dobry pani. - Uśmiechnęła się do kolejnej pacjentki, pani Slateford. - Co słychać?

- Zrobiłam... zrobiłam próbę ciążową i wydaje mi się, że jest dodatnia. - W nieśmiałym uśmiechu młodej kobiety widać było nadzieję.

- Kiedy miała pani ostatni okres?

- Trzy miesiące temu.

- Zaraz panią zbadam. - Sally wstała od biurka, kierując pacjentkę w stronę leżanki. - Proszę zdjąć żakiet i podwinąć rękaw. Zmierzę pani ciśnienie i pobiorę krew do analizy, żeby się upewnić, że nie ma pani anemii, a potem panią zważę.

Gawędziła z panią Slateford, poleciła jej różne ulotki informacyjne i sugerowała domowe sposoby opanowania porannych nudności, lecz pacjentka odmówiła przyjmowania tabletek.

- Nie należę do kobiet, które dla głupiej mody ryzykują zdrowie dziecka albo własne. Jeżeli to możliwe, wolałabym unikać leków.

- Myślę jednak, że powinna pani brać żelazo i kwas foliowy, aby zaspokoić zwiększone zapotrzebowanie organizmu w trakcie ciąży.

- Przeszłam na dietę o większej zawartości kwasu foliowego, gdy tylko postanowiliśmy powiększyć rodzinę. Oglądaliśmy program, z

którego wynikało, że eliminuje on możliwość wystąpienia rozszczepienia kręgosłupa...

Sally lubiła takie pacjentki. Pani Slateford była osobą inteligentną i odczytaną, która na pewno będzie uczęszczała do szkoły rodzenia. Perspektywa narodzin kochanego i zdrowego dziecka napawa radością każdego lekarza.

- Proszę za kilka dni zadzwonić do pielęgniarki, a ona zapewne potwierdzi pani diagnozę. - Sally uśmiechnęła się, słysząc radosny śmiech pacjentki. - Poda pani także wyniki analiz. Gdyby zaszła potrzeba, dołączę recepty. Na razie proszę na siebie uważać i dużo spać. Potem nie będzie na to czasu.

Odprowadziła pacjentkę do drzwi, po czym zrobiła wpis do jej karty. Jej nastrój znacznie się poprawił. Razem z kawą Sue podała Sally karteczkę.

- Dzwonił ktoś z bazy transportowej pogotowia i prosił, żeby się pani skontaktowała w sprawie jakiejś wizyty.

Na wzmiankę o bazie serce zabiło jej szybciej. Miała nadzieję, że chodzi o Luke'a.

Na karteczce był tylko numer telefonu.

Wzruszyła ramionami, jakby perspektywa spotkania Luke'a w jego miejscu pracy zupełnie jej nie interesowała, i niedbałym gestem odsunęła karteczkę na bok.

Ta maska opadła w chwili, gdy do gabinetu wchodził następny pacjent: Sally błyskawicznym ruchem chwyciła kartkę i wsunęła do torebki.

O trzeciej po południu zaparkowała przed bazą. Przeciagnęła dłońmi po kolanach ulubionych spodni.

- Nie wygłupiaj się - mruknęła, sięgając po torbę. - Jesteś dyplomowanym lekarzem i na dodatek jesteś dobra w tym, co robisz. Nie denerwuj się tak... - Inny jednak wewnętrzny głos nie dawał za wygraną. - A jeżeli tam jest Luke?

Był. Na dodatek to on powitał ją w drzwiach i poprowadził do pokoju dla personelu.

Szła za nim, podziwiając jego sylwetkę.

Otworzył drzwi i odwrócił się, by wpuścić ją przodem. Nim odwróciła wzrok, w jego spojrzeniu dostrzegła błysk aprobaty, gdy tym razem on dokonywał inspekcji.

- Zaprosiliśmy cię o tej porze, ponieważ teraz jest zmiana dyżuru - wyjaśnił, podczas gdy ktoś inny przysunął jej krzesło i podał kawę.

- W ten sposób od razu poznasz większość sanitariuszy - dorzucił jego partner, Jeff. - Jest nas tu całkiem sporo, - Obchodził pokój, przedstawiając kolegów i objaśniając ich funkcje.

Wkrótce połowa zebranych zaczęła zbierać się do wyjścia, żegnana przyjaznymi pogrózkami.

- Jak tylko zamkniecie za sobą drzwi, powiemy jej o was całą prawdę! - krzyknął za nimi młody człowiek, którego poznała podczas nocnego wezwania na parking.

Pozostali towarzyszyli jej podczas zwiedzania bazy. Była im wdzięczna za tę obecność, która rozpraszała niepokój, jaki ją ogarniał, ilekroć Luke się do niej zbliżał.

Pokazali jej kilkanaście równiutko ustawionych karetek: od tych starych, z dwuskrzydłowymi tylnymi drzwiami, i tak wysokich, że można w nich stanąć, aż do zaadaptowanej limuzyny, która była w stanie osiągnąć dwieście kilometrów na godzinę.

- Kiedy wy z tego korzystacie? - spytała zdumiona.

- Rzadko - przyznał Luke - ale jaka to przyjemność wiedzieć, że się zdąży do szpitala na Great Ormond Street z dzieckiem w ciężkim stanie.

Przytaknęła z uznaniem, jednocześnie zadowolona, że ten rodzaj odpowiedzialności nie leży w zakresie jej obowiązków.

- Nie macie problemów z policją?

- Żadnych, gdy się zorientują, kogo złapał ich radar. - Terry roześmiał się. - Czasami spisują numery i dzwonią, żeby sprawdzić, czy jechaliśmy służbowo, ale normalnie, jeżeli nie złamiemy przepisów, nie robią nam żadnych trudności.

Gdy wrócili do budynku, Terry odciągnął Sally na stronę.

- Dobrze się czujesz po tej nocy? - Zniżył głos. - Coś takiego może wstrząsnąć każdym.

- O czym rozmawiacie?

Sally dopiero teraz zorientowała się, że Luke też jest w pokoju.

- Wezwano ją do tego wypadku na parking.

- Dwa dni temu? - przerwał mu Luke, przeszywając Sally wzrokiem.

- Tak. Do tego chłopaka, który skasował mercedesa.

- I siebie. - Sally wzdrygnęła się.

- To byłaś ty... - Luke urwał, jakby w obawie, że nie potrafi dokończyć, lecz w jego spojrzeniu Sally wyczytała obietnicę, że powróci do tego tematu, gdy już nie będzie świadków.

Jego tłumiony gniew onieśmielił ją, lecz po chwili poczucie godności kazało jej podjąć tę rozmowę od razu.

- Moja obecność była właściwie niepotrzebna. Już nie żył. Ale była szansa...

- Szansa! Ryzykowałaś życie! - Reakcja Luke'a zaskoczyła wszystkich zebranych.

- Luke...

- Nie! - Nie pozwolił jej mówić. - Musiałaś być pierwsza, przed innymi! Musiałaś się wczłgać do zalanego paliwem samochodu, który wisiał dziesięć metrów nad...

- Luke! - Przerwała gwałtownie jego tyradę i zadała mu proste pytanie: - A co ty byś zrobił na moim miejscu? Czekalbyś na innych, wiedząc, że chłopak może się wykrwawić na śmierć, czy postąpiłbyś tak samo jak ja?

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Błede policzki Luke'a nabierały kolorów.

- Możliwe - przyznał stłumionym głosem - Ale.

- Żadne „ale” - przerwała mu. - To jest moja praca. Za to mi płacą i...

Nie dokończyła, ponieważ rozdzwonił się telefon. Wszyscy przysłuchiwali się rozmowie.

- W drogę! - mruknął Jeff, pospiesznym krokiem kierując się do drzwi.

Luke został w tyle.

- Czy mogę do ciebie wpaść po pracy? - zapytał poważnym tonem. - Muszę się z tobą zobaczyć i porozmawiać.

- Zobaczymy się wcześniej, niż myślisz. - Chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. - Ja też jestem na dyżurze. - Pobiegnęła w stronę swojego samochodu, nie dając Luke'owi czasu na odpowiedź.

Gdy dotarli na miejsce wezwania na przedmieściach, magazyn meblowy stał w ogniu.

Straż pożarna przybyła przed nimi. Dzięki szybkiej akcji strażaków pożar nie przeniósł się na sąsiednie domy.

- Wszyscy są? - rzuciła Sally do strażaka kierującego akcją - Macie jakichś rannych?

- Na razie nie, ale facet z naprzeciwka twierdzi, że wcześniej widział, jak ktoś tam wchodził. Mógł to być pracownik któregoś ze Sklepów, który poszedł do magazynu po towar. Szukamy.

Rozległ się ostrzegawczy krzyk. Na piętrze pękła szyba i na dół posypał się deszcz odłamków. Wszyscy podnieśli wzrok.

- Teraz dopiero się zacznie. Świeży dopływ powietrza roznieci ogień! - Strażak pokiwał siwą głową. - Teraz możemy tylko pilnować, żeby się nie rozprzestrzeniał.

- Hej! - Sally odwróciła głowę w kierunku, skąd dobiegł okrzyk. Skąd wiedziała, że to Luke? - Tam ktoś jest! - Pokazywał okno bez szyby.

Do budynku natychmiast podjechał samochód pożarniczy z dwoma strażakami na platformie wysuniętej na wysokość parapetu okna.

Sally z zapartym tchem obserwowała, jak jeden z nich, w aparacie tlenowym, wchodzi do środka. Oceniając, jak długo go nie ma, czuła łoskot pulsu w uszach: z jednej strony pragnęła, żeby kogoś znalazł, z drugiej nie wierzyła, by ktokolwiek mógł tam przeżyć.

- Wraca - usłyszała głos Luke'a tuż obok. Zorientowała się, że bezwiednie podeszła do niego. - Znalazł kogoś.

Podeszli bliżej. W tym samym czasie strażacy coś sobie podali. Opuszczono platformę.

- Dziecko! - szepnęła Sally, rzucając się ich kierunku. Chłopczyk trząsał się i szlochał, kurczowo ściskając kawałek kocyka.

Nim ktokolwiek zdążył się nim zająć, jakiś mały samochód zatrzymał się z piskiem hamulców obok karetki.

- Andy! - Krzyk kobiety przeszył powietrze. - Mój synek! Gdzie jest Andy?! - Pobiegnęła do sklepu z meblami.

- Mama! - zapłakał chłopczyk, próbując wyrwać się z objęć Luke'a - Mama!

Jego przeszywający krzyk przedarł się przez huk pożaru i kobieta przystanęła.

- Andy? - Odwróciła się, szukając wzrokiem dziecka. - Andy, gdzie jesteś?!

Pomimo wysiłków Luke'a Andy wyrwał się z jego ramion i z kocykiem w ręce pobiegł do zrozpaczonej matki.

Sally z trudem powstrzymywała wzruszenie, patrząc, jak malec rzuca się kobiecie na szyję i wtula w jej ramiona, a ona na przemian to strofuje, to pociesza swoje cudem uratowane dziecko.

Podszedł do nich policjant i poprowadził w kierunku karetki.

- Musimy go zbadać - wyjaśnił Luke. — Trzeba się upewnić, że nie nawdychał się dymu i oparów z płonących mebli.

Podczas gdy Sally i Luke badali tętno i oddech Andy'ego, kobietą opowiedziała im, jak to całą rodziną przyjechali do magazynu, aby wybrać nowe meble do salonu.

- Mąż wrócił samochodem do sklepu, żeby załatwić sprawy związane z płatnością, a ja zostałam tutaj. Musiałam pójść do toalety, spodziewamy się drugiego... więc kiedy sprzedawca odwoził mnie furgonetką, myślałam, że Andy zabrał się z ojcem.

- Ja też chcę siusiu - przerwał jej cichy głosik.

- Dopiero w sklepie zorientowaliśmy się, że Andy tu został.

Wsiadłam do samochodu i wróciłam po niego. - Spojrzała przez ramię na płonący magazyn. - Kiedy tam byliśmy, zwróciłam uwagę sprzedawcy, że czuję dym, ale uspokoił mnie mówiąc, że wcześniej palili jakieś opakowania, gdzieś na zapleczu...

Przerwała, widząc, że Luke skończył badanie.

- Nic mu nie będzie? - dopytywała się. - Tyle się opowiada o trujących wyziewach z gąbki stosowanej w meblach...

- Nie wiem, jak on to zrobił - zauważył Luke z uznaniem - ale wyszedł z tego - gestem wskazał na płomienie - bez szwanku. Ma chłopak szczęście.

- Czy trzeba go zawieźć do szpitala? - Matka objęła dziecko mocno i kołysała jak niemowlę.

Luke zerknął na Sally.

- Raczej nie. - Uśmiechnęła się. - Skontaktuję się z jego lekarzem i wszystko mu przekażę. Jeżeli coś panią zaniepokoi, proszę się zgłosić do niego, i on zadecyduje.

Stali obok siebie, patrząc, jak kobieta z dzieckiem podchodzi do strażaków, aby im podziękować.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - szepnął Luke.

- Nie mam pojęcia, jak mu się to udało.

- Ja też nie. Czuję ten swąd. W głowie się nie mieści, ile jest w nim przeróżnych toksyn. Wprost trudno uwierzyć, że Andy nie walczy teraz ze śmiercią pod respiratorem... - Zamilkła, czując, że Luke myśli o czymś innym.

- O mnie też tak mówili... Podobno mam to - dotknął blizny na czole, o której Sally już zdążyła zapomnieć - ponieważ usiłowałam kogoś wynieść z płonącego samochodu. Ekspłodował i mimo że straciłam przytomność i trzeba mnie było na nowo pozszywać, to właściwie nic mi się nie stało.

Tylko straciłam pamięć, pomyślała Sally ze smutkiem, podejrzewając, że utrata własnej przeszłości spowodowała w nim większe spustoszenie niż urazy fizyczne.

Wracając do domu z zamiarem podjęcia kolejnego etapu zmagania z ogródkiem, zauważyła, że zastanawia się, jakim człowiekiem był Luke, przed wypadkiem. Czy zawsze był taki spokojny i opanowany, czy może był duszą każdego towarzystwa?

Jego podejście do chorych i rannych wskazywało, że potrafi być delikatny, lecz Sally poznała go także od tej gwałtownej strony. Poza tym miał bardzo silną świadomość dobra i zła.

Ma wspaniały charakter, myślała, odganiając Amber, która zmuszała ją do wspólnej zabawy suchymi badyłami. Na przykład ta jego miłość do wszystkich form życia: roślin, ludzi, zwierząt...

- Poza jednym, wrednym wyjątkiem - wysapała, wyrywając psu rękawicę.

- Czy można się włączyć do tej zabawy? - Wesoły śmiech Luke'a rozpląnął się w wieczornym powietrzu.

Amber szczerzyła radośnie, porzuciła rękawicę, by obłąkańczym tańcem powitać Luke'a, który szedł przez nie uporządkowany trawnik.

- Wygląda to coraz gorzej, zamiast coraz lepiej - zażartował rozglądając się.

-To przez tę twoją kudłatą wielbicielkę - odparła, opierając się na grabiach. - Jak tylko uprzątę jakiś kawałek, to albo przywlecze jakieś śmieci, albo kopie dziury.

- Pomóc ci? — Wyjął ręce z tylnych kieszeni dzinsów i sięgnął po grabie.

- Na dzisiaj mam dosyć. Nakarmię ją teraz i wezmę kąpiel. - Schyliła się po koszyk z narzędziami ogrodniczymi i wrzuciła do niego rękawice. Jedna z nich wyglądała bardzo nieapetycznie.

- Mogę coś ci zaproponować? - Wziął od niej koszyk.

- Idź i weź kąpiel, a ja zajmę się psem. A potem usiądziemy sobie i pogadamy.

- Propozycja nie do odrzucenia - westchnęła.

- Skorzystaj z niej. Taka okazja może się nie powtórzyć - odparł z promiennym uśmiechem.

- Niech tak będzie. Postaram się pospieszyć.

- Siedź w wannie, ile chcesz. Mogę ci nawet wyszorować plecy.

Zanurzając się w pachnącej kąpieli, ciągle czuła gorąco na policzkach. Była bliska zaproszenia go do wspólnej kąpieli..

Nie minęło pół godziny, jak zeszła na dół.

Kąpiel wspaniale ją odświeżyła. Nieczęsto pozwalała sobie na pachnące olejki i pianę, ale to i tak nie miało znaczenia w obliczu możliwości spędzenia kilku chwil z Lukiem.

- Pospieszyłaś się.

Mył ręce nad zlewem. Zerknął przez ramię, gdy zatrzymała się w progu.

Ten postawny mężczyzna, który czuł się w jej kuchni jak u siebie, nagle wprowadził ją w zakłopotanie. Przecież poznali się dopiero niedawno i wiedzą o sobie tak niewiele. Czy mają szansę rozwiązać problemy, które sprawiły, że są teraz właśnie tacy, a nie inni? Czy będą razem na tyle długo, że serce jej pęknie, gdy to się rozpadnie?

Łoskot wylizywanej miski ściągnął ją na ziemię.

- Dzięki, że mnie wyręczyłeś. Kąpiel była cudowna. -Sprawdziła, czy w imbryku jest woda. - Napijesz się drinka?

- Prawdę mówiąc wydaje mi się, że zasłużyłem na coś do jedzenia.

Ujął ją za ramiona i odwrócił w stronę okna. Ciepło jego dłoni wyłączyło w niej wszystkie procesy myślowe i dopiero po chwili zobaczyła, co zrobił.

- Jaki porządek! Uprzątnąłeś wszystkie skarby Amber. Jak ją przekonałeś, żeby się od nich odczepiła?

- Sposobem. - Przyciągnął ją do siebie. - Rzucałem jej piłkę, a jak do mnie wracała, rzucałem znowu.

- Sprytne! - Roześmiała się, jednocześnie odpychając od siebie świadomość, że ich ciała się dotykają. - I w końcu bardziej się zmęczyła niż ty?

- Ale śmieci nie ruszyła. - Sally poczuła, jak jego mięśnie tężeją, gdy się roześmiał. Nie drgnęła: po prostu napawała się tą bliskością.

- Jak przyjemnie tak cię obejmować - powiedział półgłosem. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję takiego kontaktu... jak bardzo...

Obserwowała w szybie, jak Luke przechyliła głowę i wargami muska jej szyję.

- Jak miło - szepnął, chwytając zębami jej ucho - Jak... Tuż obok zadzwonił telefon.

Dopiero po chwili dotarło do Sally, co powinna zrobić. Drżącą dłonią podniosła słuchawkę.

- Słucham - powiedziała niewyraźnie, po czym spróbowała jeszcze raz. - Tu Sally Webster.

- Przepraszam, że panią znowu niepokoję, ale coś się dzieje pod Abbey Meads. Możliwe, że ktoś został postrzelony.

- Gdzie? - Umysł Sally pracował już bezbłędnie. - Ile osób? Czy zawiadomiono policję?

- Pierwszy trakt w prawo za drogą do wyrobiska. Mniej więcej kilometr dalej. Jedną z ofiar jest policjant.

- Już jadę! - Odwracając się gwałtownie, wpadła na Luke'a. - Och, przepraszam. Zapomniałam, że tu jesteś. -Chciała go wyminąć, żeby sięgnąć po torbę i kurtkę.

- Wystawiasz mnie na poważną próbę - jęknął, podając jej kurtkę. Sam już był ubrany.

- Przepraszam, że tak się stało. - Zamknęła kuchenne drzwi na klucz i ruszyła do wyjścia. - Kara za spędzanie czasu z lekarzem.

Wypuściła Amber na dwór. Z ciężkim sercem myślała o tak prozaicznym zakończeniu wspólnego wieczoru.

- Czy wpadniesz, jak będziesz znowu miał wolny wieczór?

- Dajesz mi odprawę? - rzucił od niechcienia. - Po tym, jak się tak napracowałem w twoim ogródku?

Popatrzyła na niego ponad maską samochodu i zorientowała się, że czeka przy drzwiach od strony pasażera.

- O co ci... ? - zaczęła, czując, jak powraca jej dobry nastrój.

- Proszę otworzyć, pani doktor. Czas na nas. Wskoczyła do środka i z szerokim uśmiechem otworzyła mu drzwi.

Zanim Luke ustawił stopy po obu bokach Amber, Sally włączyła silnik, przybrała oficjalny wyraz twarzy i zapięła pasy.

Tym razem, mimo zapadającego zmroku, wiedziała, jak jechać. Nie znała jedynie ostatniego odcinka drogi.

- Nie wiem, czego mam szukać - mruknęła, rozglądając się po okolicy. - Po co tutaj policja i dlaczego policjant... Wiem! - zawołała na widok obozowiska pogruchotanych przyczep. - Zdaje się, że mamy do czynienia z tak zwanymi wędrowcami. - Zaparkowała za wozem patrolowym.

- Sally... - Położył dłoń na jej ręce, gdy zaciągała hamulec. Dziwny ton w jego głosie kazał jej podnieść wzrok. -Uważaj na siebie, proszę...

Uśmiechnęła się niewyraźnie i wyskoczyła z auta.

- Poruczniku! — krzyknęła, wynosząc torbę. - Podobno macie rannego?

- Proszę za mną. - Poprowadził ją za żywoplotem, po czym pochylony dopadł furtki. - Na pani miejscu też bym się schylił. Gorąco

tu... - Przemknęli chyłkiem dalej, aż do drugiego samochodu policyjnego, za którym leżał młody policjant.

- Co się stało? - zapytała, klękając obok rannego, zaniepokojona rozległą plamą krwi na jego piersi. - Kiedy to się stało i czy wiadomo, z jakiej broni padł strzał?

- Ten bałwan znalazł się równo między wędrowcami i farmerem akurat w chwili, gdy ten stracił cierpliwość. Mogła to być śrutówka, ale z dużej odległości.

Rozległy się krzyki.

- Poradzi sobie pani czy lepiej, żebym tu został?

- Proszę iść i zająć się tym, co do pana należy. – Rzuciła mu przelotny uśmiech, nie odrywając wzroku od rany, którą odsłaniała, rozcinając zakrwawiony mundur.

Młody policjant jęknął, kiedy ściągała poszarpany materiał koszuli z jego piersi i ramienia.

- Przepraszam za ten ból, ale muszę stwierdzić, skąd tyle krwi. - Pochłonięta pracą, nie zwracała uwagi na zgiełk, jaki nasilał się za żywoplotem.

- Ze środka - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Słucham? - Jej dłonie znieruchomiały.

- Powiedziała pani, że chce pani zobaczyć, skąd tyle krwi.

Pomyślałem, że jak pani powiem, to przestanie mnie pani męczyć.

Zdumiona wpatrywała się w twarz rannego. Dopiero po chwili parsknęła śmiechem:

- Z takim poczuciem humoru stanowczo należysz do tych, którzy przetrwają. Jak się nazywasz?

- William Hay, jak Will Hay... ten komik.

- Wszystko jasne. - Pokiwała głową. - Skoro to dziedziczne, to rzeczywiście nie twoja wina.

- Au! - jęknął Will. - Lubię panią, mimo że usiłuje pani poprawić to, co zaczęła ta pukawka.

- Mam dla ciebie miłą wiadomość: ta rana nie jest poważna. - Wyjęła z torby duży opatrunek i zakładała go pospiesznie, by zdążyć przed zmrokiem.

- Z mojego punktu widzenia to wcale tak nie wygląda.

- To głównie powierzchowne zranienie - oznajmiła, przyklepiając opatrunek plastrem. - Zebrałeś mnóstwo śrutu, ale większe naczynia krwionośne nie zostały uszkodzone. Pielęgniarki w szpitalu będą miały mnóstwo zabawy, wydłubując z ciebie ten śrut. Za kilka tygodni będziesz mógł opowiadać dziewczynie o ranach odniesionych na polu walki...

- Albo że ten farmer mnie postrzelił, bo dobierałem się do jego kurnika.

Sally pakowała torbę.

- Lepiej będzie, jak usiądziesz. Możesz się oprzeć o samochód, żeby ci było łatwiej oddychać. - Pomogła mu zmienić pozycję i podłożyła pod plecy marynarkę. - Kiedy odpoczniesz, odprowadzę cię do karetki. Będą cię mieli na oku, zanim dojedziesz do szpitala.

Gdy w końcu przekazała go Philowi, z ulgą wyprostowała plecy.

Nadal trwała ostra wymiana zdań między farmerem, który był właścicielem tej ziemi, a wędrowcami, którzy chcieli bezprawnie ją sobie przywłaszczyć.

W zapadających ciemnościach Sally nie mogła dostrzec Luke'a. Nie było go w jej samochodzie. Nie widziała go od chwili, gdy prosił ją, by uważała na siebie.

Bum, bum!

Ten odgłos wszystkich postawił na nogi. Sally czuła, że serce jej bije jak młotem z niepokoju o Luke'a. Przecież chyba policjanci nie pozwolili mu podejść zbyt blisko?

- Nie mogę się połapać, o co tu chodzi - dobiegł ją głos Phila, gdy siadała na stopniu karetki. - Farmer tego pola nie uprawia, więc co mu szkodzi, że na jakiś czas rozbiją tu obóz? Wiem, że to jest naruszenie własności, ale oni mu niczego nie zniszczą.

- Dużo ludzi myśli - odparła półgłosem - że ten farmer jest zachłanny, albo jak pies ogrodnika...

- No - zgodził się Phil.

- Niestety, wędrowcy nie przestrzegają zasad higieny i wystarczy, by jeden z nich zanieczyścił pole ludzkimi odchodami, a farmer nie będzie mógł zebrać plonów ani wypasać bydła, a nawet jeżeli je wypuści na to pole, nikt takiego bydła nie kupi, ponieważ jego mięso może być zarażone.

- Jak to?! - zdumiał się Phil. - To znaczy, że jeżeli pozwoli im zostać tu chociaż przez godzinę, może przez to stracić tysiące funtów?

- Do tego trzeba dodać zniszczone płoty, bramy i cały ten śmietnik, jaki po sobie zostawia.

- Teraz rozumiem, dlaczego on tak zajadle się broni. Jakby do tego dopadła go recesja, jak niektórych w tej okolicy, mógłby zbankrutować.

Nagle zgiełk przybrał na sile, z różnych stron rozległy się okrzyki i rozbłysły światełka latarek.

- Chciałbym wiedzieć, co się tam dzieje - mruknął Will.

- Proszę, proszę! - Sally drżała z niepewności o Luke'a, ale wiedziała, że byłoby nonsensem po ciemku wyruszać na poszukiwanie. Na pewno nie spotkałoby jej nic dobrego.

Wrzask wzmógł się jeszcze bardziej, nagle zagórował nad nim przeraźliwy krzyk bólu, po czym zapadła głucha cisza.

Przerwał ją ryk silników. Spoglądając przez przednią szybę karetki, Sally zobaczyła, że przyczepy odjeżdżają, ginąc w mroku nocy.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się, czując nieprzyjemne kołatanie serca. - Widzisz coś?

- Wynoszą się w popłochu, jakby ich całe piekło goniło - zdumiał się Will. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Urwał, słysząc, że Phil wziął głęboki oddech. Sally w mgnieniu oka zorientowała się dlaczego.

Do karetki zbliżało się dwóch policjantów, którzy podtrzymywali trzecią osobę.

- Następna ofiara - oznajmił Phil. Sally zacisnęła dłonie na torbie, przygotowana udzielić pomocy, niezależnie od stanu rannego.

Gdy podchodzili do tylnych drzwi karetki, ranny jęknął. Sally podniosła się ze schodka.

Policjanci stanęli przed nią, a mężczyzna nadludzkim wysiłkiem próbował się wyprostować. Miał zmasakrowaną twarz i ramionami obejmował żebra. Gdy całą trójkę oblało światło z wnętrza karetki, Sally rozpoznała brązowe oczy Luke'a.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jeszcze tydzień później Sally robiło się niedobrze na wspomnienie obrażeń Luke'a, lecz w pierwszej chwili ogarnęło ją uczucie bezgranicznej wściekłości na sprawców.

- Luke - szepnęła, wyciągając ku niemu drżącą dłoń. -Twoja twarz!

- Sally... - zaczął, lecz przestraszył się własnego głosu. Uciszyła go, przepuszczając całą trójkę do karetki.

- Co się stało? - spytała ostro. - Jak do tego doszło? On jest pielęgniarzem, a nie policjantem!

- Niech mu to pani sama wytłumaczy. - W głosie policjanta zabrzmiała nuta szacunku. - Te obszarpańce złapały psa farmera i zaczęły się nad nim znęcać, a on, idiota, się wtrącił, więc rzucili się na niego z pięściami, butami i czym kto miał pod ręką. Banda tchórzów.

Pogardliwie wydał wargi.

- Dlatego tak pospiesznie dali nogę - dodał jego kolega.

- Teraz ustalą swoją wersję i zmyją krew, żeby policja ich nie rozpoznała.

Słuchając ich relacji, Sally pomogła Lukowi usiąść na noszach i zabrała się do oględzin.

- Dlaczego nie przynieśliście go na sztywnych noszach?

- Minał pierwszy szok i zaczęła myśleć profesjonalnie. -A gdyby miał uszkodzony kręgosłup?

- To twarda sztuka! Pozbierał się, zanim go dopadliśmy, i znowu się na nich szykował.

Policjant wyraźnie aprobował taką męską postawę.

- Kretyn - mruknęła pod nosem.

Ma oddech nieco przyspieszony i płytki; tętno też za wysokie, ale należy to sprawdzić jeszcze raz za kilka minut. Przede wszystkim trzeba zająć się ranami głowy.

- Ale będziesz miał limo - zażartowała, oglądając zakrwawioną kość policzkową, mimo że zrobiło się jej słabo, gdy zorientowała się, jak mało brakowało, by stracił oko.

- Popatrz prosto przed siebie. Zamierzała sprawdzić reakcję na światło.

Mimo że wzrok miał zamglony z powodu bólu, obie źrenice reagowały normalnie.

- W porządku - oświadczyła, ujmując dłońmi jego głowę, aby sprawdzić, czy nie ma tam ran lub guzów.

Uświadomiła sobie, że z radością dotyka jego miękkich włosów, lecz zwyciężyła w niej potrzeba upewnienia się, że nie doznał poważnych obrażeń.

Badając rozległą bliznę, która ciągnęła się od skroni aż prawie do samego ciemienia, z przerażeniem pomyślała o wypadku, który pozbawił tego człowieka jego historii.

Luke chciał zmienić pozycję i jęknął z bólu.

- Gdzie cię boli? Plecy? W klatce piersiowej? Zdejmowała mu kurtkę.

- Żebra... -mruknął i przycisnął ramię do boku.

- Zaraz popatrzę.

Zaczęła rozpinać mu koszulę.

Wolną ręką usiłował ją powstrzymać, ale zgromiła go spojrzeniem i w końcu zsunęła koszulę z ramion.

Opukała wszystkie żebra, zwracając szczególną uwagę na ogromny siniak na jednym boku.

- Wykluczam odnę opłucnową i krwiaka w opłucnej - oznajmiła, z uczuciem ulgi odkładając stetoskop - ale obawiam się, że masz złamane co najmniej jedno żebro. Żeby ułatwić ci oddychanie, mogę dać ci z tej strony poduszkę albo unieruchomić ramię. Albo sam przytrzymuj sobie bok ręką.

- Sam...

- Dobrze. Wiesz najlepiej, co ci pomoże, ale zanim ruszycie, chcę, żebyś się położył.

- Zaraz.

Zaciskając zęby, zaczął się odwracać.

- Pomogę ci. Powoli.

Kiedy się układał, podtrzymała go ramieniem, aby zmniejszyć nacisk na żebra.

- Idźcie już - jęknął, uśmiechając się z wysiłkiem w kierunku policjantów. - Ona marzy, żeby mnie dostać w swoje ręce... od dawna... - Resztę zdania stłumiła plastikowa maska aparatu tlenowego.

Opanowując śmiech, policjanci wysiadali z karetki. Wtórowali im ich ranny kolega i obsługa.

- Wcale go nie żałuję - krzyknął na odchodnym jeden z policjantów.

- Mnie się nigdy nie trafiła taka śliczna pani doktor!

- Luke! - upomniała go zdławionym głosem, czując, że jest cała w pąsach. - Dlaczego to powiedziałeś?

- A może to nieprawda, co? Au!!! - Chciał podnieść głowę, żeby zobaczyć, jak Sally wychodzi z karetki, już nawet zdjął sobie maskę, żeby coś powiedzieć, kiedy chwycił go ból.

- Trzeba zrobić prześwietlenie, ale i tak uważam, że wyszedłeś z tego obronną ręką.

Starła się mówić zasadniczym tonem, aby ukryć niepokój, lecz wyraz twarzy Luke'a upewnił ją, że jego mózg funkcjonuje prawidłowo.

Błysk w jego oczach, nawet w tym, które z powodu opuchlizny było prawie zamknięte, świadczył, że zauważył jej reakcję. Bała się, że dłużej nie zdoła ukryć swoich uczuć.

- Co ja mam zrobić, Amber? - pozaliła się psu, jadąc za karetką w kierunku miasta. - Za mało go znam, żeby się w nim zakochiwać. Kurczę, on sam o sobie wie za mało...

Stanąła na szpitalnym parkingu, opanowując chęć rzucenia się biegiem, aby jak najprędzej znaleźć się przy Luke'u.

- Wyskakuj, Amber. Siedzisz tu tak cierpliwie, że zasłużyłaś na spacer. Szkoda, że tylko dokoła parkingu.

Zbliżała się dopiero Wielkanoc, więc po zmroku natychmiast robiło się chłodno. Sally drżała z chłodu, gdy w końcu odważyła się wejść do środka.

- Przepraszam, który konsultant ma teraz dyżur? - zapytała rejestratorkę.

- Doktor Melanie Scott, ale jest teraz, zajęta. - Kobieta uśmiechnęła się ciepło. - W jakiej sprawie chciała się pani widzieć z doktor Scott?

- Chciałam się dowiedzieć, czy już obejrzała pana Nemo. Czy można go zabrać do domu?

- Zaraz się dowiem. - Już miała się odwrócić, gdy coś ją tknęło. -
Czy pani jest... ? Pani jest lekarzem, prawda?

- Tak. - Przez chwilę Sally żałowała, że zostawiła kurtkę w samochodzie, nie przysłała tu jednak w sprawie służbowej.

- Wydawało mi się, że panią znam. Byłam na dyżurze, kiedy przywiozła pani tego młodego rowerzystę.

Sally uśmiechnęła się niewyraźnie. Nie chciała być nieuprzejma wobec tej kobiety, ale bardzo zależało jej na wiadomościach o Luke'u.

- Sama pani tam trafi, prawda? Doktor Scott jest z nim w trójce.
Sally dziękowała pospiesznie.

Najpierw usłyszała gderliwy głos Luke'a, a gdy weszła do jasno oświetlonej sali, tuż przed sobą ujrzała jego półnagą postać. Biały plaster zakrywający żebra na jednym boku podkreślał muskulaturę torsu.

- Witaj, Sally. - Melanie zobaczyła ją pierwsza. Luke dopiero teraz spojrzał w jej kierunku. - Co cię tu sprowadza o tej porze?

- Po co tu przyszedłeś? - Pytanie Luke'a sprawiło jej przykrość. Był niezadowolony z jej obecności.

Przesunęła wzrok i patrzyła teraz gdzieś poza jego głowę.

- Na wypadek, gdyby doktor Scott nie dała ci skrzydeł albo kółek. Żeby cię odwieźć do domu. Zdaje się, że przez to stuknięcie w głowę zapomniałeś, że byliśmy tam razem.

- Ach, tak. - Zerknął na Melanie Scott. - Mogę już iść?

- W każdej chwili.

Podawała mu rękę, lecz odsunęła się, gdy sam zaczął wstawać. Rzuciła Sally znaczące spojrzenie.

- Poproszę kogoś, żeby pomógł ci się ubrać.

- Dziękuję, nie trzeba. Poradzę sobie.

Sally po raz pierwszy zobaczyła jego plecy. Tylko lata pracy w tym zawodzie sprawiły, że nie krzyknęła, przerażona widokiem blizn. Blizna na głowie była straszna, to prawda, ale ile on się musiał nacierpieć, kiedy goiły się te poparzenia!

- Sally, niech on się ubiera, a ty chodź do mnie na kawę.

- Dziękuję... - odparła słabo. Wyszły na korytarz.

- Nie wiedziałaś o tym - stwierdziła Melanie.

- Nie. Ja nie... My nie... - Sally poczerwieniała.

- Przepraszam. To nie była żadna aluzja. - Melanie dotknęła dłonią jej ramienia. - Wiem, że Luke nie lubi opowiadać o sobie ani o tym, co się zdarzyło. A co ty o nim wiesz?

Przypominała teraz jedną z nauczycielek Sally. Tę, która zawsze oczekiwała, że dowie się prawdy.

- Spotkaliśmy się przy kilku wezwaniach, podarował mi parę roślin do mieszkania. Sam je wyhodował - dodała z uśmiechem.

- Lubisz go? - zapytała Melanie półgłosem. - Jemu też na tobie zależy. Pierwszy raz widzę coś takiego... Powodzenia - szepnęła tajemniczo, po czym uśmiechnęła się do nadchodzącego Luke'a.

Sally nie była zadowolona, ponieważ umknęła jej okazja, by dowiedzieć się od Melanie czegoś więcej.

- Wcale nie musiałaś przyjeżdżać do szpitala - mruknął, sadowiąc się ostrożnie w samochodzie.

Sally zauważyła, że z Amber przywitał się znacznie wylewniej niż z nią. Bez słowa zamknęła jego drzwi, mimo że miała ochotę trzasnąć nimi z całej siły.

Odezwał się, kiedy zapinała pasy.

- Mogłem pojechać taksówką.

- Mogłeś - przyznała.

Z trudem udawała, że nie czuje jego wrogiego nastawienia. Dopiero po jakimś czasie Luke przerwał nieprzyjemne milczenie.

- Jeżeli wiedziałaś, że sam dojadę do domu, to dlaczego po mnie przyjechałaś?

- Można to nazwać po prostu przerostem poczucia odpowiedzialności.

Z jednej strony czuła, że coraz trudniej jest jej się opanować, z drugiej podejrzewała, że jego rozdrażnienie wynika stąd, że odmówił przyjęcia środków przeciwbólowych. Postanowiła wytrwać.

- Nie musisz czuć się odpowiedzialna za mnie.

- Częściowo czuję się odpowiedzialna za to, że się tam ze mną znalazłeś.

- Bzdura! - zaproponował gwałtownie. - To nie ty chciałaś mnie rozwalić.

- No, nie. Ale gdybyś nie był u mnie, prawdopodobnie siedziałbyś spokojnie w swoim domu i przesadzał geranium albo coś innego. - W dzieciństwie musiała nauczyć się panować nad swoim gwałtownym temperamentem. Teraz, gdy te hamulce nieco puściły, machnęła raptownie ręką gestem wykluczającym wszelką dyskusję. - Poza tym nic straconego. Mogę ci jeszcze przyłożyć, jak będziesz się tak zachowywał. Mam teraz spore szanse, bo te bydlaki mocno cię osłabiły!

Skręciła na podjazd i zgasła silnik.

- Wybieraj: albo wysiadasz sam, albo z moją pomocą. Tak czy owak, musisz u mnie coś zjeść.

- Ale...

- Jak zjesz, odwiozę cię do domu.

Nie czekając na odpowiedź, wysiadła z samochodu. Kiedy obeszła auto, Luke otworzył już drzwi i ostrożnie wysuwał stopy, usiłując nie dotknąć psa.

- Chcesz, żebym ci pomogła? - Pokręciła głową. - Nie, nie. Powiem to inaczej. Czy potrzebujesz mojej pomocy?

Blady i spocony, posłał jej lodowate spojrzenie, po czym westchnął głośno.

- Tak, potrzebuję...

Bez słowa pomogła mu wysiąść, Amber tymczasem przysiadła na ścieżce i z przechyloną głową przyglądała się im wyraźnie zdumiona.

- Wejdz do domu, a ja tu wszystko pozamykam.

Podła mu klucz, wróciła do samochodu po torbę i sprawdziła wszystkie drzwi tylko po to, by godność Luke'a zbytnio nie ucierpiała. Kiedy stanęła przy drzwiach, Luke zdążył włożyć klucz do zamka.

- Chcesz drinka, zanim zajmę się lodówką? Starannie wieszała swoją kurtkę, chociaż w rzeczywistości pragnęła pomóc Luke'owi.

- Przydałaby się duża whisky - jęknął, nie mogąc wyjąć ramienia z rękawa - ale wystarczy mi kawa.

Ruszyła w stronę kuchni.

- Sally? - Zatrzymała się. - Przepraszam... To nie twoja wina. To ja nie jestem.

- Zbyt miły? - podsunęła.

- Chciałem powiedzieć: w porządku. Masz rację. - Ostrożnie nabrał powietrza w płuca. - Trzeba mi pomóc zdjąć kurtkę.

Przytrzymała mu rękaw, żeby mógł oswobodzić dłoń.

- Cierpisz z tego powodu co najmniej tak bardzo, jak z powodu żeber - zażartowała. - Nie umiesz prosić o pomoc, prawda?

- Nie umiem - przyznał, krocząc za nią sztywno do kuchni. - To zazwyczaj ja pomagam...

Sally zrobiła dwa omlety i przez cały czas kierowała rozmowę na błahe tematy.

- Cholera - mruknął, zaciskając powieki, kiedy zapomniawszy o żebrach chciał przesunąć krzesło.

- Jesteś pewien, że nie chcesz nic na ten ból? - zaproponowała - Mam...

- Nie - uciął. - Żadnych środków przeciwbólowych. Z trudem łapał oddech.

- Nie wydaje ci się, że to przesada?

Złościła ją sytuacja, w której widząc, jak Luke cierpi, nie mogła mu pomóc.

- To nie o to chodzi... Nie dokończył.

- Powiedz mi... - Nagle zdała sobie sprawę, że to jest coś istotnego, coś, o czym ona musi wiedzieć, bo to dotyczy tego nowego Luke'a. - Powiedz mi dlaczego. Ja chcę o tym... Muszę to zrozumieć.

Patrzył jej w oczy, jakby chciał poznać jej myśli, jej duszę.

- To było po wypadku. - Wpatrywał się teraz w omlet. - Przez jakiś czas trzymali mnie na środkach uspokajających, Nie wiem jak długo.

Kiedy zorientowałem się, że nic nie pamiętam, przestało mi na czymkolwiek zależeć...

Podniósł wzrok. Sally wpatrywała się w niego jak urzeczona. Nie mógł jednak wiedzieć, jak bardzo pragnęła podejść do niego i wziąć go w ramiona.

- Przez dłuższy czas dostawałem tego spore dawki, aż okazało się, że jestem uzależniony...

Nie dokończył, lecz Sally zrozumiała, co chciał powiedzieć.

- A jeżeli schowam tę torbę tak, żebyś nie wiedział, gdzie jest, i dam ci placebo zamiast prawdziwego środka uśmierzającego?

Rzucił jej wyzywające spojrzenie, jakby uważał, że z niego żartuje. Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy w jej oczach błysnęły łzy, których nie była w stanie dłużej powstrzymać. Ostrożnie wyciągnął ramię i palcem dotknął jej policzka.

- Dlaczego? - spytał zdumiony.

- Bo cierpisz - wykrztusiła.

Milczał, nie odrywając palca od jej twarzy.

- Czy to jest dla ciebie takie ważne?

Nie mogła mówić. Zaciśnęła wargi i tylko przytaknęła.

- Niech będzie paracetamol - powiedział wreszcie. -I... dziękuję ci.

Potem jedli w milczeniu, ale nie było to przykre milczenie.

Przypominało ciszę po gwałtownej burzy, kiedy ci, którzy, przetrwali, czują wdzięczność za to, że żyją.

Ich układ zmienił się. Jakby zaistniała między nimi pewna więź... poczucie bliskości, jakiego wcześniej nie zaznała. Nawet wtedy, gdy była z Brianem.

Dotykała tego wspomnienia jak bolącego zęba, lecz nie poczuła żadnego bólu. Kiedy to się stało? Kiedy zagoiło się jej złamane serce? A może ono wcale nie było złamanym sercem?

Perspektywa Wielkanocy natchnęła Sally nową otuchą. Ogródek stopniowo budził się do życia: z pozornie jałowej ziemi wyrastały rośliny, radując oczy świeżą zielenią młodych liści.

Luke, kurując pokiereszowane zębra, siał nasiona i pikował dla niej sadzonki, lecz tylko raz udało mu się ją przekonać, że mu to nie szkodzi.

Niechętnie dała mu drugi klucz, aby miał dostęp do wody, oraz kluczyk do schowka z narzędziami ogrodniczymi, lecz zrobiła to dopiero wtedy, gdy jej oznajmił, że zwariuje, jeżeli nie będzie miał nic do roboty.

Kilkakrotnie zdarzało się, że gdy wracała do domu, witały ją zapachy domowej kolacji. Dobrze się stało, przychodnia bowiem pękała w szwach za sprawą jakiegoś szczególnie złośliwego wirusa. Sally była Luke'owi niezmiernie wdzięczna za to, że nie musi sama niczego gotować.

Trudną sytuację w pracy komplikował także fakt wprowadzenia skomputeryzowanej bazy danych o pacjentach.

- Wierzę, że na dalszą metę dzięki temu komputerowi zaoszczędzimy dużo czasu i energii - oświadczyła, kiedy któregoś wieczoru, po wspaniałej kolacji przygotowanej przez Luke'a, zasiedli na kanapie w salonie.

Przymykając zmęczone oczy, odgarnęła swe bujne, kasztanowe włosy z karku, jakby w ten sposób chciała się pozbyć nieznośnego bólu głowy, który nękał ją przez całe popołudnie.

- Miałam już do czynienia z komputerem i wiem, że to się sprawdza, ale dopóki nie zostaną do niego wprowadzone wszystkie dane, będziemy się miotać między starym systemem i nowym...

Luke zmienił pozycję. Poczwała, jak jego palce wślizgują się pod jej włosy i zaczynają masować napięte mięśnie.

- O, jak przyjemnie... - Opuściła głowę, poddając się kojącym ruchom jego dłoni. - Zaraz zacznę mruczeć.

- Lepiej? — Ułożył jej głowę we wgłębieniu swojego ramienia.

- Znacznie lepiej. Zrobiłam się strasznie senna... - wyznała półgłosem, zamykając powieki.

- Sally?

Głos Luke'a stopił się z umykającym, czarownym marzeniem sennym. Obejmował ją. Czwała jego oddech na policzku.

- Sally? Powinnaś już iść spać...

Poczwała jego szorstki policzek na swojej skórze i sen nagle stał się zbyt realny.

- Luke? - szepnęła zaspanym głosem. - Co ty robisz w moim łóżku?

Mruknął coś w odpowiedzi, pomagając jej usiąść.

- Zasnąłaś na kanapie. Musisz się wyspać, żeby jutro dzielnie stawić czoło temu komputerowi.

- O, nie - jęknęła. - Musisz mi o tym przypominać? -Usiadła, kryjąc twarz w dłoniach. - Miałam taki piękny sen!

Rozbudziła się już na tyle, by zapanować nad słowami. Ucieszyła się, że Luke nie widzi jej rumieńców.

Nie może mu powiedzieć, że śniła o nim, o tym, że spali razem w jej łóżku, że ją obejmował, że obudził ją jego szept...

- Sally! - napomniał ją stanowczym tonem. Poderwała się z poczuciem winy. On chyba czyta w jej myślach...

- Nie zasypiaj znowu, dopóki nie dotrzesz do łóżka. Musisz się porządnie wyspać.

Powlokła się za nim do drzwi.

- Przepraszam, że się tak brzydko zachowałam. Mam nadzieję, że nie chrapałam.

- Skądże znowu! Zachowywałaś się nienagannie. -Uśmiechnął się, spoglądając jej w oczy. Światło padające z holu igrało na jego ciemnych rzęsach. - Przytuliłaś się do mnie jak senny kotek...

Zakłopotana odgarnęła palcami włosy; wstydziła się zaróżowionych snem policzków i zmiętego ubrania.

- Luke... - szepnęła zahipnotyzowana jego spojrzeniem.

- Sally...

Pogładził ją po policzku, po czym ujął jej głowę swoją silną dłonią.

Uważnie obserwując jej reakcję, odchyłał jej głowę do tyłu, aż w końcu ich wargi się spotkały.

Była przygotowana na zwyczajny pocałunek na dobranoc, dowód przyjaźni, jaka narodziła się między nimi w ciągu tych kilku tygodni, ale to nie miało zupełnie nic wspólnego z przyjaźnią!

Patrzyła, jak Luke powoli przymyka powieki. Sama skoncentrowała się na delikatnych muśnięciach jego języka.

- Pozwól mi, Sally... - szepnął tuż przy jej wargach, jakby nie chciał odsuwać się od nich. - Chcę wiedzieć, jak smakujesz...

Kiedy jego gorący język dotknął jej ust, nie była w stanie się opierać. Objął ją jeszcze mocniej. Jej umysł usiłował ogarnąć informacje, jakie wysyłało jej ciało. Na próżno. Było ich zbyt wiele: ciepło, siła, pragnienie...

Przestał ją całować, jakby usłyszał jej myśli, i przytulił jej głowę do swojej piersi. Słyszała bicie jego serca i nierówny rytm oddechu.

- Przepraszam - szepnął. Poczowała, że strach mrozi jej serce: już raz ją odtrącono. - Wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

- To... nie szkodzi...

Nie otwierając oczu, czekała na cios.

- Owszem, szkodzi - zaprotestował półgłosem. - Nie mam prawa całować cię w ten sposób. - Odsunął się, - Muszę iść...

Odwrócił wzrok, ruszył do drzwi i wyszedł. Patrzyła za nim, zdumiona takim pośpiechem.

Oparła się o ścianę i bezwładnie osunęła na podłogę.

Siedziała obejmując rękami kolana i wpatrywała się w ścianę. Poczowała na wargach słone łzy.

Pół godziny później już nie wiedziała, dlaczego płacze: czy z powodu zdrady Briana, czy ze strachu, że znowu ktoś chce ją odtrącić?

Luke wrócił do pracy przed Wielkanocą, kiedy gwałtownie rośnie liczba wypadków, co dało Sally nadzieję, że nie będzie miał czasu, by ją odwiedzać.

Idealna pogoda wróżyła nawał roboty.

Przychodnia pękała w szwach od pacjentów, którzy nadto się przyłożyli do wiosennych porządków, remontów czy do kopania ogródków.

- Dlaczego ci idioci nie złączą od najłżejszych prac? - gderał Gareth Evans, podczas gdy Sally wypisywała plik recept. - Gdyby oszczędzali swoje krzyże, to ja mógłbym pokopać u siebie!

Zaśmiała się, wychodząc do swojego gabinetu. Zapewne te przypadłości będą jej chlebem powszednim, wyznacznikiem pory roku, tak jak zimowa epidemia grypy i letnie udary słoneczne.

Jako jedyny w tym gronie lekarz bez rodziny zgłosiła się na ochotnika, by brać udział w seminariach uzupełniających wiedzę medyczną lekarzy.

- To nie jest w porządku - zaprotestował Tony Hammond. - Nie będziesz miała ani chwili dla siebie.

- Nie powstrzymuj jej - wtrącił się Gareth. - Ja jestem wykończony, więc jeżeli Sally chce to wziąć na siebie...

- Oczywiście - potwierdziła. - Wy macie z kim spędzać czas, szczególnie w Wielkanoc. Ja nie miałabym co robić.

- Musisz znaleźć sobie jakieś towarzystwo - radził Tony. - Musisz się od tego oderwać, bo inaczej zwariujesz.

Uśmiechnęła się bez słowa. Nie mogła przecież powiedzieć im, że właśnie praca ma jej pomóc oderwać się od życia towarzyskiego, jakiegokolwiek by było.

Od kiedy Luke wybiegł z jej domu, nawet na nią nie spoglądając, czuła w sobie wielką, dojmującą pustkę. Dni wypełniały jej dyżury w przychodni i wizyty domowe oraz wyprawy z Amber w celu poznania okolicy. Właściwie tylko nocowała w domu.

Dzięki Bogu tylko raz wezwano ją do wypadku; karetką przyjechała wówczas inna załoga, nie Luke i Jeff.

Dopiero późnym wieczorem mogła przyznać się sama przed sobą, że te wysiłki na nic się nie zdają. Po wyczerpującej pracy całymi godzinami jeździła bez celu samochodem - tylko po to, by uniknąć spotkania z

Lukiem, mimo że jej jedynym marzeniem było znaleźć się w jego towarzystwie.

W końcu pewnego dnia uległa zdrowemu rozsądkowi i zaraz po pracy pojechała prosto do domu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zajęła na podjazd przed zmrokiem.

- Słuchaj, Amber, przebieramy się, wypijamy herbatę i idziemy do ogródka zobaczyć, co tam wyrosło, kiedy nie patrzyliśmy.

Amber nie zwracała na nią uwagi, zajęta wylizywaniem miski.

Sally płukała kubek, gdy zadzwonił telefon. Niepewnym ruchem podnosiła słuchawkę w obawie, że usłyszy głos Luke'a.

- Słucham.

- Mamy chłopaka przygniecionego na terenie budowy nowego objazdu.

- Po której stronie? Jakie obrażenia?

Wyprawy krajoznawcze nie poszły na marne: od razu wiedziała, jak dojechać tam najkrótszą drogą. Niepokoił ją jedynie brak informacji na temat stanu poszkodowanego.

- Już jadę. - Odkładając słuchawkę, zawołała psa. -I co ty na to? W końcu zdecydowałam się odpocząć, i co się dzieje?

Amber radośnie machnęła ogonem i ułożyła się w samochodzie, szczęśliwa, że może towarzyszyć ukochanej pani.

Dojechała do placu budowy w tej samej chwili, co dwa samochody straży pożarnej. Zorientowała się wtedy, że nie chodzi tu o dziecko, które po prostu uwięzło w ogrodzeniu.

- Gdzie on jest?

Biegła po wertepach w kierunku grupki ludzi.

- Tędy, pani doktor - usłyszała głos policjanta, którego poznała podczas poprzednich akcji. - Tym razem nie będzie tak łatwo.

Ludzie rozstapili się, odsłaniając jaskrawożółtą koparkę, która, jak przewrócony na bok konający dinozaur, przygniatała swoją ofiarę.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jak on ma na imię? - zapytała, przyklękając obok chłopca, którego ciało, prawie dorosłe, wydało się jej dziecięco kruche.

Czując pod kolanami chropowatą ziemię, mimo woli z ulgą pomyślała, że jest w stroju roboczym.

- Tim - rzucił ktoś za jej plecami.

- Jestem lekarzem, Tim. Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Jej oczy i dłonie pospiesznie zbierały informacje potrzebne, by podać mu tlen.

- Właśnie miałem zamiar... - pospieszył z wyjaśnieniem usłużny obserwator.

Sally zgromiła go wzrokiem. Później mu wytłumaczy, dlaczego ważne jest, by mówił Tim. W ten sposób można określić funkcjonowanie jego mózgu.

- Tim - zachęcała - którądy tu się dostałeś?

Wbiła grubą igłę w żyłę na grzbiecie jego dłoni i do końca odkręciła zawór.

- Dziurą w płocie... Wycięli ją przeciwnicy budowy... - Jęknął, gdy próbowała zbadać rozmiary obrażeń dolnej części ciała. Jego nogi były poza zasięgiem jej wzroku.

- Rozumiem, Tim.

Ktoś podał jej koc. Pobrała próbki krwi, by zbadano grupę i ustalono krzyżówki, i podała je osobie, która stała najbliżej.

- Proszę znaleźć kogoś, kto zaraz je zabierze i przywiezie z powrotem krew. Na razie dostał kroplówkę, ale gdy podniosą tę maszynę, może być potrzebna natychmiastowa transfuzja. Jeżeli nie będą tego mieli, niech przyślą zero minus albo nawet osocze.

Ujęła Tima za rękę.

- Powiem ci, co już zrobiłam, a potem będę wyjaśniała na bieżąco. Możesz mi zadawać pytania.

- Czy ja umrę? - Słowa wydobywające się spod maski tlenowej były trochę niewyraźne. W niebieskich oczach chłopca zalśniły łzy.

- Zrobię wszystko, żebyś nie umarł. Strażacy już się przygotowują do podniesienia tego kolosa. Potem cię wyciągniemy i zawieziemy do szpitala.

- Czy utną mi nogi? - Łza oderwała się od kącika oka i spłynęła po skroni, ginąc w płowych włosach.

- Tylko wtedy, gdyby okazało się, że jest to jedyny sposób uratowania ci życia. - Patrzyła mu prosto w oczy.

- Obiecuje pani? - szepnął.

- Obiecuje.

- Sally? - Poznała dobrze znany głos. - Maszynę już można podnosić. Gdybyś się nieco odsunęła...

- Dlaczego?

Z wrażenia mogła wymówić tylko jedno słowo. To Luke. Stoi tuż za nią...

- Lina może się obsunąć. - Mówił półgłosem, tylko do niej.

Poczuła drgnięcie dłoni, którą trzymała w swojej ręce. Skierowała spojrzenie na twarz Tima. Najwyraźniej usłyszał słowa Luke'a.

- Proszę mnie nie... - W jego wzroku wyczytała paniczny strach. Bał się zostać sam.

- Więc niech się postarają, żeby się nie ześliznęła - rzuciła stanowczo, jednocześnie ujmując mocniej dłoń Tima.

- Sally... - nalegał Luke.

- Luke!

Nie pozwoliła mu dokończyć. Wiedziała, co jej powie i dlaczego. Ale Luke nie będzie jej mówił, co ma robić, kiedy ona sama wie to najlepiej. Może mu jedynie wytłumaczyć dlaczego.

- Jak już to podniosą, Tim będzie potrzebował mojej natychmiastowej pomocy. Stanie się to niemożliwe, jeżeli zgodnie z przepisami będę siedziała na drugim końcu tego pobojuwiska. W przypadku syndromu zmiążdżenia liczy się każda sekunda, więc się stąd nie ruszę.

Odwracając się do Tima, raz jeszcze zwróciła się do Luke'a:

- Skoro już tu jesteś, pomóż mi założyć mu kołnierz. Potem możesz im powtórzyć, co powiedziałam.

Patrzył na nią zatroskany. Bez słowa spełnił jej prośbę, i dopiero na odchodnym odezwał się:

- Powtórzę im. - Położył dłoń na jej ramieniu gestem wyrażającym zrozumienie. - Kiedy przywiozą krew i ty będziesz już gotowa, dam im znak, żeby zaczynali.

- Co to jest syndrom zmiążdżenia?

Pytanie Tima wyrwało ją z zadumy, gdy patrzyła za oddalającym się Lukiem.

- Coś, co dzieje się z człowiekiem, którego przygniotło coś ciężkiego. - Nie wiedziała, jak szczegółowej odpowiedzi chłopak od niej oczekuje.

- Jak podczas zderzenia samochodów?

- I pod zawałonymi domami, po wybuchach i trzęsieniu ziemi.

- Czy to znaczy, że mam zmiążdżone wszystkie kości?

- Nie. To dotyczy mięśni i innych tkanek miękkich. Kiedy przygniecie je coś ciężkiego, nie dochodzi tam krew.

- I co? To znaczy, że i tak dostanę gangreny i że trzeba będzie je uciąć?

- To znaczy, że wszystko musi być przygotowane, kiedy zaczną podnosić tę koparkę. Twoje tkanki uległy zmiążdżeniu i zniszczeniu, więc kiedy zwolni się ten nacisk, stracisz dużo krwi. Mam nadzieję, że będziemy już mieli krew do transfuzji i twoje nerki nawet się nie zorientują, że działo się coś niedobrego.

W oddali rozległo się znajome wycie syreny.

- Krew już jedzie - oznajmiła Sally. Poczyniła dalsze obserwacje, przekazując je komuś obok, kto podjął się roli asystenta. - Jeśli wszystko będzie przebiegać w tym tempie, już niedługo cię stąd wyciągniemy. - Uśmiechnęła się, usiłując ukryć niepokój, jaki w niej budził jego stan.

Patrzył teraz nieprzytomnym wzrokiem i był blady jak papier.

- Prędeż, prędeż - powtarzała szeptem, coraz bardziej zdenerwowana. - Musimy go wyciągnąć teraz, nie za tydzień!

Nadbiegł Luke ze sprzętem.

- Mamy dwie jednostki: zero minus i osocze. Ponieważ Stąd do szpitala jest tylko piętnaście minut, przygotowują więcej krwi, która już będzie czekała na jego przyjazd.

- Dobrze. - Sięgnęła po pierwsze opakowanie.

- Założę mu drugą kroplówkę w drugą rękę. Na wszelki wypadek.

Luke wziął się do pracy, a Sally po raz kolejny podziwiała jego wprawne ruchy. Niejeden lekarz chciałby umieć wykonać to zadanie w sposób tak profesjonalny.

Luke sięgnął po nosze i położył je tuż obok siebie.

- Kiedy maszyna uniesie się na tyle, że nogi Tima będą już wolne, wciągniemy go na nosze i zabierzemy stąd. Jeff stoi tu gotowy nieść je razem ze mną, żebyś ty mogła spokojnie obserwować Tima.

- Ale... - Już miała zaprotestować przeciwko jego obecności podczas niebezpiecznej operacji podnoszenia maszyny, lecz logika podpowiedziała jej, że dodatkowa para rąk bardzo się przyda. Jednocześnie zorientowała się, że jest wobec Luke'a tak samo opiekuńcza, jak on wobec niej.

Widząc jego stanowczy wyraz twarzy, zrezygnowała z protestu. Wiedziała, że nic nie wskóra. Jak Luke się uprze...

- Gotowi? - Jego spojrzenie dodało jej sił tak potrzebnych w ciągu kilku najbliższych, trudnych minut

Odwróciła wzrok pod pretekstem sprawdzenia stanu Tima, wstrząśnięta mocą uczuć, jakie wzbudziła w niej ta zwykła wymiana spojrzeń, która wcale nie była taka niezwykła.

- Gotowi - oznajmiła. Luke dał ratownikom sygnał.

Rozbrzmiała symfonia okrzyków ludzi, jęków i pisków maszyny, lecz Sally słyszała przede wszystkim łomotanie własnego serca.

Koparka drgnęła nieznacznie.

- Rusza się. Widzisz?

- Tak. Stąd też to widać.

Jednocześnie obydwoje chwycili worki z krwią.

- Lina jest gotowa - informował Jeff, który stał nieco poza polem operacji. -Można dalej?

Sally zerknęła na Luke'a. W jego oczach ujrzała znany jej niepokój i upór. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Zaczynajcie! - zawołał. Ryk silników natężył się.

Nagle, gdy maszyna uniosła się w górę, Tim wydał stłumiony jęk, który przeszedł w krzyk.

- Zaczekaj! - ostrzegł ją Luke, oceniając odległość. - Jeszcze kilka centymetrów... Teraz!

Wspólnymi siłami wciągnęli chłopca na nosze.

- Jeff! - zawołał Luke.

Pomocnik już biegł ku nim, podczas gdy oni regulowali kroplówki,

- Trzymam! - wysapał. - A teraz szybko!

Sally odebrała od Luke'a drugi worek i dotrzymywała im kroku aż poza plac budowy.

- Stawiamy i zabezpieczamy - zaordynował Luke. Zatrzymali się na skraju równej ziemi, gdzie Jeff pozostawił resztę sprzętu. - Trzeba mu założyć szyny, te nadmuchiwane, tak będzie prędzej. Żeby zapobiec wstrząsowi na skutek utraty krwi.

W trójkę zajęli się nogami Tima, po czym sanitariusze zapięli mu pasy.

Sally przełożyła oba worki do jednej ręki, aby zbadać stan pacjenta. Gdy dała znak, że skończyła, dwaj nowi ratownicy już czekali, by zanieść go do karetki. Po chwili Tim był w drodze do szpitala.

Wyprostowała się i, czując, że zbyt długo pozostawała w jednej pozycji, zaczęła kolistymi ruchami palców masować obolały krzyż. Jednocześnie obserwowała, jak w oddali znika niebieskie światło karetki.

Jak zwykle, kiedy pacjent był już w drodze do szpitala, ogarnęło ją uczucie pewnego niedosytu. Zrobiła, co do niej należało i teraz inni przejęli pałeczkę.

- Pani doktor... - Poznała głos policjanta. - Co z nim będzie? Straci obie nogi?

- Miejmy nadzieję, że nie. Być może postąpił jak idiota, ale na to nie zasługuje. Czy to był jakiś głupi wybryk, który nie wypalił? - Podniosła torbę.

- Jego kumpel powiedział nam, że w płocie były dziury zrobione przez obrońców środowiska, którzy zrobili nalot, żeby przeszkodzić w budowie tego objazdu.

- Najwyraźniej im się to nie udało... - Sally rozejrzała się po placu budowy.

- Ano nie. - Policjant roześmiał się. - Miejscowi ich przegonili. Od dwudziestu lat wręcz błagali władze, żeby zrobiły ten objazd.

- To co ten młody człowiek tutaj robił? Jednoosobowy sabotaż na tyłach wroga?

- Nic podobnego. Skorzystał z okazji, że roboty przerwano na czas świąt. Myślał, że przez kilka dni będzie mógł sobie poćwiczyć na jednej z

tych maszyn. - Machnął ręką w kierunku żółtej koparki. - Że nikt z miejscowych się nie zorientuje, że nie jest robotnikiem.

- Myślał, że mu się to uda? Chyba zwariował!

- Podobno miał bzika na punkcie samochodów. Jeździł, czym popadło, nawet bez zgody właściciela. Podobno świetnie prowadzi i marzył, żeby zostać kierowcą, ale mają dopiero siedemnaście lat, więc musi jeszcze sporo poczekać.

- Jeżeli będzie miał nogi... - zauważyła ponuro.

- Nikt wtedy nie powie, że nie zrobiła pani wszystkiego, co należy - oznajmił. - Jest pani naszym wielkim skarbem. Będzie pani miała wszystkich pielęgniarzy na każde skinienie - podsumował z uśmiechem.

Poczuła, że się czerwieni. Pragnęła jedynie, by policjant przypisał jej zakłopotanie komplementowi, a nie wzmiance o pielęgniarzach.

Pożegnała się. Zanim usiadzie spokojnie z kubkiem kawy, spędzi jeszcze co najmniej pół godziny, uzupełniając zawartość swojej torby na wypadek kolejnego wezwania.

Wzburzona swoją reakcją na obecność Luke'a w trakcie akcji, była bliska złożenia mu wizyty.

- Co ty na to, Amber?

Trzymając w dłoniach kubek z kawą, patrzyła na stopniowo rozkwitający ogródek.

- Mam sprawdzić, czy jest teraz w domu? Myślisz, że zechce tu przyjść i zobaczyć, jak te kwiaty wyglądają za dnia? Może da się namówić na kawę albo na kolację? Boże, gadam jak stara panna w potrzebie.

Wstała i wylała fusy do zlewu.

- Jest jeszcze druga wersja: mogłabym wcześniej położyć się spać. Kąpiel z pianą, przyjemna muzyka, jakiś romans do czytania...

Sprawdzając drzwi pomyślała, że druga wersja może być kontynuacją pierwszej. Gdyby zaprosiła Luke'a, miałyby towarzystwo... w kąpieli, przy muzyce, i obyłyby się bez żadnej lektury...

- Gdzie są te czasy, kiedy pacjenci mnie unikali? - jęknęła następnego dnia, gdy Sue podała jej listę wizyt domowych. - Wtedy naprawdę miałam czas zająć się ogrodem i domem. Od Wielkanocy po prostu nie mogę złapać tchu!

- A nie mówiłam! - roześmiała się Sue.

- Do jutra. - Na odchodnym Sally pokazała jej język.

Dziwnie wsiadało się do samochodu bez radosnego powitania ze strony Amber, lecz po kilku wyjątkowo ciepłych dniach Sally poczuła wyrzuty sumienia z powodu biednego psa, który po kilka godzin przesiadywał zamknięty w samochodzie.

Teraz, przed czekającymi ją wizytami, postanowiła wrócić do domu po Amber.

Pierwszy na liście był pięciolatek, który tego dnia poszedł po raz pierwszy do szkoły.

- Wymiotuje od kilku godzin - poinformowała ją matka, spoglądając na żalostną istotkę w piżamie i szlafroku, skuloną w rogu kanapy. - Zaczęło się, kiedy wrócił ze szkoły. Pomyślałam, że miał po prostu za wiele wrażeń.

- Tylko wymiotuje? - Sally przysiadła na brzegu kanapy i pogładziła jasną główkę - Coś cię boli?

Poczuła, że chłopczyk ma podwyższoną ciepłotę ciała i przyspieszone tętno. Pызata buzia była blada i spocona. - Brzuszek... - jęknął cicho. - Boli mnie brzusek.

- Mogę go obejrzeć? Może dowiemy się, dlaczego cię boli?

- Dałam mu pić, ale natychmiast zwrócił. - Matka rozpięła guziki piżamy, po czym zsunęła spodenki!

- On ma pięć lat? - Sally delikatnie obmacywała brzuch i pachwiny chłopca. Po prawej stronie wyczuła znamieny opór.

- Auu! - jęknął chłopiec. - Boli!

- Przepraszam, skarbie. Jeszcze tylko ten raz. Nacisnęła punkt McBurneya. Chłopiec wrzasnął wniebogłosy.

- Muszę skorzystać z telefonu, żeby wezwać karetkę. - Gładziła chłopca po głowie gestem przeproszającym za ból, jaki musiała mu zadać.

- Obawiam się, że to wyrostek. Potrzebna natychmiastowa pomoc.

- Zapalenie wyrostka? Nie wiedziałam, że dzieciom to się też zdarza!

- Matka gestem wskazała Sally telefon i zajęła się pocieszaniem syna.

- Zaraz tu będą - oznajmiła Sally, odkładając słuchawkę. - Posiedzę przy nim, a pani niech spakuje niezbędne rzeczy.

Widziała, że płacz malca wyprowadza matkę z równowagi. Im bardziej kobieta była zdenerwowana, tym rozpaczliwiej chłopiec szlochał.

- Co mam spakować?

- Na razie przybory toaletowe i ulubioną zabawkę. - Posadziła sobie dziecko na kolanach. - Jak już będzie po wszystkim, może mu pani przynieść czystą piżamkę. Może chce pani zawiadomić męża? Zadzwoń do niego albo zostawiać wiadomość, żeby się nie martwił, gdy wróci z pracy?

- Mąż wyjechał. Pracuje na Morzu Północnym, na platformie wiertniczej. - Kobieta najwyraźniej nie wiedziała, co zrobić najpierw.

- Może pani zatelefonować do męża, gdy przyjedzie karetka... To chwilę potrwa.

Kobieta wzięła się w garść. Przyniosła do salonu niezbędne rzeczy i włożyła je do szkolnego plecaka.

Sprawdziwszy, czy wszystkie drzwi, oprócz frontowych, są pozamykane, usiadła przy telefonie.

Gdy karetka zajechała przed dom, matka była już znacznie spokojniejsza. Przestała płakać i właśnie przekazywała chłopcu informacje od ojca.

- Dzień dobry! - Sally usłyszała znajomy głos. - Dowiedziałem się, że czeka tu pewien młody człowiek, którego mam zabrać na specjalną przejażdżkę. Czy ktoś go widział?

Sally uśmiechnęła się, czując, jak rozładowuje się napięta atmosfera.

- Kto to jest? - zapytał trwożliwie Chłopiec.

- Czy to ty jesteś moim pasażerem? - Luke przykucnął, aby nie peszyć małego pacjenta swoim ogromnym wzrostem, i wyciągnął do niego wielką dłoń. - Cześć, mam na imię Luke - powiedział z uśmiechem.

Po chwili mała rączka niepewnie wsunęła się w jego dłoń.

- Cześć, a ja Gary.

- Zabierzemy twoją mamę? - Luke zniżył głos. - Czy ona była grzeczna?

Gary zachichotał i skinął głową.

- W porządku. Proszę wsiadać na mój latający dywan...

- Luke nakrył podłogę kocem. - Zapraszam. - Cześć! koca owinał Gary'ego razem z Sally.

- Oj, chyba się pomyliłem! - Z komicznym wyrazem twarzy rozdzielił ich ramieniem.

- Moją mamę też weźmiesz na ręce? - Zciekawiony zachowaniem Luke'a, chłopiec zapomniał o strachu i bólu.

- Myślę, że mama i pani doktor zanoszą się same. - W salonie rozległ się radosny śmiech. Drogie panie, wasze pojazdy czekają!

- Nie do wiary — dziwiła się matka Gary'ego, zbierając bagaże. - Jak szybko zapomniał o strachu i potraktował to wszystko jak zabawę. Oni wszyscy są tacy?

- To świetni ludzie - uśmiechnęła się Sally, dodając w duchu, że Luke Nemo jest jednak wyjątkiem. Nikt mu nie dorówna.

Pozostałe wizyty nie odznaczały się niczym szczególnym. W drodze do domu Sally już myślała o kolacji, gdy rozdzwonił się jej telefon komórkowy.

- Mamy wezwanie od pani Sillitoe. Ostatni okres miała sześć tygodni temu i właśnie dowiedziała się, że jest w ciąży. Ma bóle i zaczęła plamić.

Sally zmartwiła się.

Jean Sillitoe była taka szczęśliwa, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, a teraz ma klasyczne objawy ciąży pozamacicznej.

- Już jadę. Wyślijcie po nią karetkę. Spotkamy się w szpitalu. Przywiozę jej kartę. Proszę zawiadomić oddział ginekologiczny. Pęknięcie może źle się skończyć nie tylko dla płodu, ale i dla niej.

Niecałe dwa tygodnie temu rozpromieniona Jean siedziała w gabinecie Sally.

- Nie wierzyłam, że coś takiego jeszcze mnie spotka. Tyle lat zajmowałam się matką, która chorowała na stwardnienie rozsiane, a potem ojciec miał zawał, więc nie odstępowałam go na krok. Czekaliśmy z mężem na tę chwilę prawie dwadzieścia lat...

Czy to marzenie ma się nie ziścić?

- W jakim jest stanie? - rzuciła zadyszana, wpadając do izby przyjęć.

- Ma torsję, podwyższoną temperaturę i tętno, jest blada i się poci.

Skarży się na ostry ból w prawym boku wyrecytował Luke, który już wiózł pacjentkę na spotkanie z lekarzami.

- Krwawi?

- Nie bardzo. - Przekazał chorą personelowi i odwrócił się w stronę Sally. - Mam dziwne przeczucie, że to nie jest ciąża pozamaciczna. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z drugim wyrostkiem.

- Jak to?! A płamienie?

- Zdarza się u kilku procent ciężarnych. Pełna nadziei, chwyciła jego dłoń.

- Bardzo bym chciała, żebyś miał rację.

Ruszyła w stronę gabinetu, do którego zawieziono panią Sillitoe.

Przy samych drzwiach zwróciła się do Luke'a:

- Zobaczymy się jeszcze?

- Bez kofeiny? - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Zgodzę się nawet, żebyś odwiozła mnie do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Godzinę później wchodzili do domu Sally, która promieniała radością.

- Wszystko będzie dobrze! Miałaś rację, podejrzewając zapalenie wyrostka - zauważyła, kierując się do kuchni w towarzystwie Amber, która plątała się im pod nogami.

- To jeszcze nie koniec - ostrzegł ją Luke. - Czeka ją długa droga, nie tylko usunięcie wyrostka.

- Byłam pewna, że Jean straci to dziecko i że znowu będą musieli się starać. Nie mam pojęcia, dlaczego wyobraziłam sobie, że usunięcie wyrostka w trakcie ciąży jest niemożliwe.

- Medycyna robi postępy - oznajmił teatralnym tonem. Zanieśli kawę do salonu i od razu usiedli na kanapie, jakby nie dawniej niż wczoraj wymieniali na niej poglądy i plotki.

- Jak przebiega komputeryzacja? - Luke wsunął stopy pod stół i usiadł wygodnie.

- Myślę, że zbliżamy się do końca. Dzisiaj nie miałam żadnych problemów z tą maszyną.

Słyszając jego śmiech, Sally wyobraziła sobie, że ta scena jest częścią jej... ich przyszłości.

Uśmiechnęła się na wspomnienie zabawnego teatru, jaki Luke zrobił przed małym Garym. Był to znakomity pomysł, by rozładować jego napięcie w tej napiętej sytuacji. Z pewnym żalem zdała sobie sprawę, że

jest to kolejna zaleta tego wspaniałego mężczyzny, dowód na to, że będzie cudownym ojcem.

Wyobraziła sobie, jak Luke bawi się z dziećmi, z ich dziećmi, oraz siebie w roli ich matki...

- O czym myślisz? - Luke bawił się jej włosami rozsypanymi na oparciu kanapy, - Masz taki dziwny wyraz twarzy...

- Rozmyślałam sobie. - Nie miała odwagi powiedzieć mu o czym. - O Jean Sillitoe i jej dziecku, i o Garym.

- Udany dzień. Dzień pod hasłem: wszystko dobre, co się dobrze kończy. Taki, który daje uczucie zadowolenia, że zrobiło się wszystko, co można było zrobić.

Ton jego głosu kazał Sally wyostrzyć czujność.

- Tego pragniesz, Luke? - zapytała półgłosem. - Uczucia zadowolenia pod koniec dnia? Czy to dlatego zostałeś pielęgniarzem?

- Być może. Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Na początku wydawało mi się, że w ten sposób mogę się odwdziaczyć za pomoc, jakiej mi udzielono, dopóki nie odzyskam pamięci.

- Udało ci się. Zupełnie przypadkiem wybrałeś dziedzinę, w której jesteś świetny. Masz nadzwyczajne wyczucie.

Gdy patrzyła, jak się czerwieni z zakłopotania i zadowolenia, poczuła, że pragnie go wziąć w ramiona. Chciała mieć prawo otoczyć go swoją miłością i wyznać mu, jak wiele do niego czuje.

- Jak ci idzie urządzanie domu? Skończysz niedługo? Była mu wdzięczna, że znalazł temat do rozmowy. Gdyby jeszcze raz zapytał, o czym myśli...

- Ostatnio mam mało czasu i nie robię takich postępów, na jakie liczyłam.

- Ale dół już jest skończony? Bardzo tu ładnie.

- Wszystko byłoby ładniejsze od tego, co zastałam.

- Wszystko? Przypominam sobie niezbyt udaną próbę wytapetowania tego pokoju... Hej! - Uchylił się przed niespodziewanym ciosem poduszką.

- Wiedz, że ta tapeta była o niebo lepsza od oryginału. Przez wiele lat mieszkała tu pewna staruszka, która w końcu nie mogła już radzić sobie sama, więc dom wystawiono na sprzedaż. Byłam pierwszą osobą, która zgodziła się go kupić w takim stanie.

Jego sceptyczne spojrzenie kazało jej wdać się w wyjaśnienia.

- Chodź, sam zobaczysz. - Pociągnęła go, za rękę. - Chodź i zobacz, jak wygląda góra. Prawie jej nie tknęłam.

Weszła na schody.

- Proszę bardzo. - Otworzyła drzwi małej łazienki i zapaliła światło. - Wszystko tu wyszorowałam i odkaziłam, więc przynajmniej wiem, że jest tu czysto. Ale sam przyznasz...

- Komuś, kto lubi pleśń, taka zieleń wydałaby się śliczna. - Podkreślił tę wypowiedź odpowiednim grymasem i zrobił krok do środka, aby dokładniej przyjrzeć się łazience. Gdy przechodził obok niej, aż wstrzymała oddech.

Po raz pierwszy, od kiedy się tu wprowadziła, poczuła w tym pomieszczeniu słaby zapach męskich kosmetyków...

Z powodu ciasnoty stała tuż za nim. Zacisnęła pięści, aby oprzeć się pokusie dotknięcia jego włosów. Musiała walczyć z sobą, aby zadać mu pytanie:

- Chcesz... oglądać dalej? Próbowałam zaprowadzić tu trochę porządku, ale na razie na niewiele to się zdało.

- Prowadź.

- Pokój gościnny - oznajmiła wyzywającym tonem, co sprawiło, że roześmiał się, wyczuwając jej zdenerwowanie.

To nie jej wina, że tak przeżywa każdy przypadkowy kontakt fizyczny. To nie jej wina, że ma tak małe doświadczenie, że nie wie, czy może przejąć inicjatywę albo czy potrafi zdobyć się na to, by mu powiedzieć, co do niego czuje. Bała się jego reakcji na takie wyznanie, i to zdecydowało, że milczała.

- Dobry Boże! - Przerazenie w jego głosie wytrąciło ją z zamyślenia. Patrzył jak urzeczony na wymyślne kinkiety oświetlające pokój. - Czy ta kobieta była chora psychicznie?

- Zdaje się, że była bardzo oszczędna. Kupowała farby za pół ceny na wyprzedaży. Kafelki w łazience też...

- Każda ściana w inny deseń! - zdumiał się. - A następny pokój?

- Bardzo spokojny w porównaniu z tym - odparła, otwierając drzwi i zapalając światło.

Wyobrażała sobie, że mógłby to być pokój dziecienny, ponieważ sąsiadował z jej sypialnią.

- Amarancik! - parsknął Luke. - Wszędzie amarancik... Sufit, ściany, nawet elementy drewniane, wszystko!

- Oprócz moich kartonów. - Sally wskazała na stertę tekturowych pudeł pod ścianą. - Nie wiem, gdzie to wszystko postawić. Do niektórych nawet jeszcze nie zajrzałam.

- Chyba tylko one nie zwariują w tym pokoju - stwierdził Luke i ruszył w stronę ostatnich drzwi.

- To jest...

Wyciągnęła ramię, aby zagrozić mu drogę do jej sypialni, ale nie zdążyła.

Luke bowiem już zapalił lampę z morelowym abażurem i stapał po puszystym seledynowym dywanie w stronę okien, które - jak okno kuchenne - wychodziły na ogródek.

- Jak ślicznie.. - Oparł się o ramę okienną i podziwiał sypialnię. W ciepłym blasku lampy jego skóra lśniła jak miedź.

Z uznaniem patrzył na morelowę i szarozielone akcenty na zasłonach i obiciu mebli, na rdzawe poduszki i sznury do zasłon, dopasowane do tonacji parteru. Dopiero teraz Sally zdała sobie sprawę, że Luke urządził swoje mieszkanie w podobnych barwach, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy wybrała te kolory już po wizycie w jego salonie, czy wcześniej.

- Piękny melanz ciepła i spokoju. Jak u kobiety, która urządziła ten pokój.

Przeniósł wzrok na łóżko, jej łóżko - w którym przez tyle nocy o nim marzyła.

- Na dodatek jest ona istotą romantyczną.

Serce biło jej jak oszalałe, czuła, że drzenie ogarnia całe jej ciało. Jaka intymna scena! Luke w jej sypialni podziwiał jej łóżko. Intymna nie do zniesienia. Zwłaszcza kiedy on tak na nią patrzy...

- Sally, och, Sally...

Pozwoliła się objąć. Poczwała wówczas, że Luke również drży na całym ciele. Zrozumiała, że jego ciało reaguje podobnie jak jej.

- Och, Luke...

Nim zaczął ją całować, zjrzała mu głęboko w oczy.

Spodziewała się gwałtowności, lecz jego wargi napełniły ją uczuciem delikatnej słodyczy. Westchnęła cicho, czując, jak narastające podniecenie dyktuje jej instynktowną uległość.

- Cudowne... - szepnął, wsuwając dłoń pod jej bluzkę. - Cudowne...

Patrzyła jak zaczarowana, gdy miejsce palców na jej piersi zajęły jego wargi. Wyobraziła sobie, że to samo mogłoby zrobić jego dziecko.

- Luke...

Jego ręce gładziły ją, pieściły, zsuwały z niej ubranie. Nieśmiało zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

- Sally, odebrałaś mi władzę nad moim własnym ciałem...

Rozgorączkowana, mocowała się z zapięciem jego spodni.

- Pomóż mi, nie mogę - szepnęła.

- Chodź... - Delikatnie pchnął ją w stronę łóżka. Zanim zdążyła odczuć jakiegokolwiek zakłopotanie, zsunął z niej ostatni kawałek jedwabiu i sam rozebrał się do końca.

Wyciągnęła do niego ramiona.

- Jesteś jeszcze silniejszy, niż sobie wyobrażałam. - Poczwała, że się czerwieni.

- Nie wstydź się, Sally. Chodź, muszę cię przytulić. Przestała się denerwować z chwilą, gdy zorientowała się, że i on, mimo pozorów opanowania, trochę się boi.

- Zawsze tak ładnie pachniesz - powiedział półgłosem, chowając twarz w jej włosach.

- A ty pachniesz... po męsku - Objęła go jeszcze mocniej, po czym powoli, jak we śnie, jej dłonie zaczęły wędrować po jego ciele.

Wyczuwając jej brak wprawy, pozwolił, by narzucała tempo do chwili, gdy zorientował się, że osiągnęła granice swojego doświadczenia.

- Proszę, Luke... - prosiła, by przejął inicjatywę. - Teraz ty. Chcę... - Przyciągnęła go do siebie.

- Na pewno chcesz?

- Tak. Och, tak... Luke, kocham cię.

Musiała to w końcu powiedzieć.

Niespodziewanie znieruchomiał, po czym mruknął coś niezrozumiale i wyrwał się z jej objęć. Błyskawicznie znalazł się w rogu pokoju i zaczął się ubierać.

- Luke, co się stało? Co ja zrobiłam? - Na myśl o tym, że znowu została odtracona, zrobiło się jej niedobrze. - Przynajmniej powiedz mi dlaczego? - Była bliska płaczu. - To nie pierwszy raz ktoś mnie nie chce... - Poczula, że zaraz zaleje się łzami. - Wynoś się stąd! - zawołała nagle i wyprostowała się dumnie.

Nie będzie płakać. Tym razem zapanuje nad emocjami.

- Sally... - Zrobił krok w stronę łóżka i wyciągnął ramiona uspokajającym gestem. Był blady jak płótno.

- Nie zbliżaj się do mnie. Wyjdź. Wyjdź z tego domu i więcej tu nie wracaj. - Za chwilę zaczniesz krzyczeć. - Na co czekasz? Chcesz zobaczyć, czy się rozpłaczę, czy będę cię błagać? O nie! Już raz to zrobiłam i nic nie zyskałam. Mężczyznom nie można zaufać...

Głos uwiązał jej w gardle.

Zaufała mu. Uwierzyła, że mu na niej zależy.

- Sally, nie mów tyle. - W jego głosie usłyszała nutę bólu. - To nie o to...

- Ach! - przerwała mu. - Brian powiedział dokładnie to samo. Chwilę później wyznał, że kocha inną i że ona już nosi jego dziecko, którego mnie nie chciał dać!

Wybuchnęła płaczem. Nie zwracając uwagi na jej protesty, przytulił ją do siebie, by mogła wypłakać swój żal w jego objęciach.

- Nie płacz, Sally - kołysał ją jak dziecko - bo się rozchorujesz...

- Dlaczego, Luke? Dlaczego nikt mnie nie chce?

- Wcale tak nie jest. Ja ciebie chcę. Ale nie zawsze można mieć to, czego się pragnie.

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie jego słów. Uspokoiliła się i odsunęła, by na niego popatrzeć. Był tak samo przygnębiony jak ona, z tą tylko różnicą, że ona mogła wypłakać swój ból, a on nie mógł sobie na to pozwolić.

- To dlaczego? Powiedz mi.

- Ponieważ nie mogę.

Bezwiednie powiodła spojrzeniem ku jego spodniom. Ku - jej przerażeniu zorientował się, gdzie spogląda.

- Nie w tym rzecz. Z tym, zdaje się, jest wszystko w porządku. Sama przed chwilą widziałaś. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Chodzi o coś ważniejszego. To kwestia honoru.

- Nie rozumiem - szepnęła. - Jeżeli ja pragnę ciebie, a ty mnie...

- Ale ja nie wiem, czy wolno mi ciebie pragnąć! Nie wiem, czy nie miałem kogoś, zanim to się wydarzyło! - Dotknął palcem blizny. - Może jestem żonaty? Może gdzieś mam rodzinę, która nie wie, co się ze mną stało?

- Gdybyś był żonaty, twoja żona na pewno by cię szukała. Na jej miejscu nie przestałabym szukać, dopóki nie dowiedziałabym się, gdzie jesteś. Zawiadomiłabym organizacje, które zajmują się poszukiwaniem osób zaginionych, Armię Zbawienia, wszystkich...

- Ktoś mógł to zrobić, ale skoro ja sam nie znam swojego nazwiska, to jak mam to sprawdzić?

Po dłuższej chwili Sally odważyła, się zadać dręczące ją pytanie:

- Wobec tego co będzie z nami? Czy to znaczy, że nigdy nie pozwolisz sobie zakochać się?

Przeraziła ją myśl o przyszłości bez marzeń. Luke wstał i podszedł do okna,

- Nie wiem. Nie wyobrażałem sobie, że mogę spotkać kogoś, kto... - Odwrócił się w jej stronę. - Nie spotykałem się z nikim, od kiedy wyszedłem ze szpitala - rzucił wyzywającym tonem. — Nie miałem na to ochoty. Dopiero ty...

- Co będzie z nami?

Wpatrywała się w deseń na powłoczce. Nie mogła patrzeć na Luke'a bez uczucia straty.

-Nie wiem - powtórzył. - To zależy od ciebie.

- Ode mnie? Przecież to nie ja mogę okazać się zamężna. Owszem, byłam tego bliska, ale...

- Nie o to chodzi, Sally. A może jednak o to? Ty masz prawo kogoś pokochać, założyć rodzinę, a ja nigdy nie będę wolny, chociażby od tej niepewności...

- A my?

- Czy zechcesz cofnąć się do tego, co było przedtem, kiedy byliśmy przyjaciółmi? Pogodzić się z tym, że to nie może prowadzić do niczego więcej?

Pokręciła głową, lecz natychmiast uświadomiła sobie konsekwencje negatywnej odpowiedzi. Odsunąć się od niego i czuć ten nieprzenikniony mur...

Trudno wyobrazić sobie całkowite zerwanie w sytuacji, gdy wykonują tę samą pracę, w tym samym mieście.

- Muszę się zastanowić, - Poprawiła włosy. - Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Nie mogę zebrać myśli.

- Wyjdę kuchennymi drzwiami. - Zatrzymał się przy drzwiach sypialni i nie patrząc w jej stronę, powiedział: - Zrozumiem, jeśli zażyczysz sobie, żebym tu więcej nie przychodził. Mam wrzucić klucz do skrzynki na listy?

- Nie. Jeszcze nie. - Westchnęła z rezygnacją. - Daj mi czas do namysłu. Oboje musimy rozważyć konsekwencje, niezależnie od naszych decyzji.

- Tak.

Zacisnęła powieki, ale jego obraz nie zniknął. Gdy otworzyła oczy, już go nie było. Usłyszała skrzypienie schodów pod jego stopami, potem pożegnał się z Amber i w końcu zamknął drzwi na klucz. Zapadła martwa cisza.

Wyrzucając sobie słabość, Sally zwinęła się w kłębek i tonąc w łzach zasnęła.

Wstała rano z bólem głowy i zaczerwienionymi oczami, ale też i w bardzo wojowniczym nastroju.

W nocy, gdy przewracała się z boku na bok, jej podświadomość uporządkowała wszystkie fakty i wyciągnęła jedyny, słuszny wniosek.

Teraz należy tylko powiadomić Luke'a o decyzji.

Nie zostawi mu wiadomości w pracy. Koledzy zaczną snuć domysły na jego temat, a on i tak ma z tym mnóstwo problemów. Postanowiła, że weźmie się w garść i po pracy do niego pojedzie.

W recepcji Sue przyjrzała się jej badawczo, ale bez słowa komentarza podała jej plik listów i wyników badań.

Dzień zaczął się od wysłania pewnego sześciolatka do kliniki diabetologicznej, a zakończył dobrą wiadomością dla pastora w podeszłym wieku, który miał kłopoty z oddawaniem moczu. Sally stwierdziła spore powiększenie gruczołu krokowego i skierowała go do specjalisty, obawiając się nowotworu. Bardzo lubiła starszego pana, z dużą więc ulgą przyjęła wiadomość, że jest to jedynie łagodny przerost prostaty.

- Sally... - zaczęła niepewnie Sue. Wiedziała, że Sally powinna już skończyć dyżur. - Mam jeszcze jedną pacjentkę. Przyjechała odwiedzić tu rodzinę i twierdzi, że nie daje jej spokoju szum w uchu.

- Poproś ją.

- Bardzo pani dziękuję, pani doktor. - Kobieta wyglądała, jakby była już u kresu wytrzymałości. - Ten nieustający szum doprowadza mnie do szału.

- Proszę usiąść. - Sally uśmiechnęła się, sięgając po wziernik. -

Zechce pani odgarnąć włosy? Szumi w obu uszach?

- Nie. Tylko w jednym.

- Aha - powiedziała Sally z całą powagą należną lekarzowi. - Jedną chwileczkę... - Wsunęła głowę do gabinetu zabiegowego. - Denise, gdzie mamy spray na muchy?

- Pod umywalką. Masz jakiś problem?

- Poradzę sobie.

Spryskała wacik środkiem na muchy, wróciła do gabinetu i delikatnie wsunęła wacik do ucha pacjentki.

- Szum może się wzmóc na kilka sekund, ale zaraz potem ustanie.

- Bardzo będę rada. Podobno jak już raz się tego dostanie, to nigdy do końca nie przechodzi.

- Coś się zmieniło?

- O, tak. Brzęczy strasznie głośno.

- To dobrze. Zaraz tam zajrzę.

Kiedy zdumiona pacjentka oświadczyła, że szum nagle ustał, Sally wyjęła wacik i spojrzała przez wziernik.

- No proszę - mruknęła pod nosem, sięgając po pęsetę. - Oto sprawczyni tego szumu. Ta muszka uwięzła tuż przy bębenu.

- Co za ulga! - westchnęła kobieta, po czym wybuchnęła radosnym śmiechem. - Niech tylko mój mąż się o tym dowie! Wmawiał mi, że to oznaka starości, czyli że starzeję się szybciej niż on! - Podała Sally rękę. - Dziękuję, że mnie pani przyjęła.

Pielegniarki w recepcji zataczały się ze śmiechu, gdy zachwycona kobieta opowiedziała im o cudownym środku na szum w uszach, lecz Sally nie miała czasu przyłączyć się do ogólnej radości.

Przysięgła sobie, że tego wieczoru złoży wizytę Luke'owi. Kiedy wczoraj wychodził od niej, wyglądała jak istne straszdyło. Tym razem będzie spokojna i opanowana.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Najlepsze plany... - mruzczała pod nosem, czesząc wilgotne włosy w koński ogon.

Wcześniej, gdy rozkoszowała się aromatyczną kąpielą, zadzwonił telefon. Przeszło jej przez głowę, że mogłaby Utopie go w wannie, lecz posłusznie wyskoczyła z wody i wkładając dres, podniosła słuchawkę.

Po chwili była już w drodze na wezwanie jakiejś zaniepokojonej sąsiadki.

- Pani doktor! - Drobną staruszką zatrzymała samochód Sally. - Niech pani popatrzy w to okno. Ktoś jest w holu, ale jak dzwonię do drzwi, to nikt nie otwiera, a telefon jest cały czas zajęty. Boję się. To tacy mili ludzie.

Nadjechała policja. Starsza pani natychmiast zajęła się jednym z policjantów, lecz drugi zdołał dotrzeć do Sally.

- To rzeczywiście wygląda tak, jakby ktoś był w holu - zauważyła Sally. - Widać nogawkę spodni i rękę.

- Musimy wejść do środka - powiedział policjant, okrążając dom. Przez radio poinformował komisariat, że być może będzie musiał się włamać.

Sally zajrzała przez kuchenne okno.

- Widzę jakiegoś zwierzaka na podłodze!

W ułamku sekundy policjant wybił szybę i zaczął wspinać się na parapet.

- Niech mnie pan podsadzi. Jestem mniejsza - zaproponowała, porównując szerokość okna i ramion policjanta.

- Niech pani natychmiast otworzy drzwi na dwór. To może być gaz!

Sally wstrzymała oddech i wspięła się na parapet. Usiłowała nie oddychać, przebywając drogę od okna do kuchennych drzwi.

- Klucz był w zamku - oświadczyła po chwili, szeroko je otwierając i wychodząc z domu po torbę.

- Niech pani zaczeka, a ja otworzę drzwi wejściowe. Jeżeli to gaz, lepiej, żeby pani nie wchodziła.

- Ale proszę się pospieszyć!

Najwyraźniej inne służby ratownicze zajęły już od frontu, ponieważ dom nagle zapełnił się różnymi ludźmi, włącznie z ekipą w aparatach tlenowych. Wszędzie otwierano okna.

Po chwili Sally rzuciła się do środka w kierunku mężczyzny w holu. Znalazła się przy nim w tej samej chwili, co ekipa z pogotowia.

- Wynieście go na zewnątrz i dajcie mu czysty tlen. -Wiedziała, że znalazł się w dobrych rękach.

Ktoś krzyknął za jej plecami. Po schodach schodził strażak z dzieckiem przełożonym przez ramię.

- Tam jest jeszcze jedno. W sypialni po lewej stronie! - Jego słowa tłumiała maska. - Zaniosę go do karetki.

Sally bez namysłu pobiegła na piętro.

Dziecko, które znalazła na podłodze, musiało być bliźniakiem tego, które strażak już wyniósł. Dziewczynka była przeraźliwie blada. Z nie znaną sobie dotąd prędkością Sally porwała ją na ręce. Szła w stronę schodów, kiedy poczuła, że ma kłopoty z oddychaniem.

- Daj mi ją - Luke przejął od niej dziecko - i wychodź stąd natychmiast!

- Mam nogi jak z waty - powiedziała, siadając na murku przed domem. - Chyba mam coraz gorszą kondycję, jeżeli bieganie po schodach tak mnie wykańcza.

- Ty głupia babo! - Luke chwycił ją za ramiona i potrząsnął. - Pierwsza zasada postępowania w przypadku wycieku gazu powiada, że nie wolno wchodzić bez aparatu tlenowego!

- Przecież okna były pootwierane - wyjaśniła.

- Ale gaz dalej się ulatniał! Luke podniósł ją na nogi.

- Ej, daj mi usiąść!

- Jak skończę! - warknął, wziął ją na ręce, zaniósł do karetki i posadził na schodku. - Siedź i nie ruszaj się - rozkazał, sięgając po maskę podłączoną do butli z tlenem. - To ty nie wiesz, że umarli bohaterowie nikogo nie uratują, a okaleczeni są tylko zawadą?!

Chyba pożałował swojej szorstkości, bo nagle złagodniał, odgarniając niesforny kosmyk włosów z jej policzka.

Nagle uprzytomniła sobie, że jest nie uczesana, a pod dressem nic na sobie nie ma.

- Ale ja wyglądam... - mruknęła, a Luke tylko się roześmiał.

- Teraz mam pewność, że nic ci nie jest! Po kobietach łatwo się zorientować. Zaczynają się troszczyć o swój wygląd.

- Niekoniecznie, mój panie - burknęła, zrywając maskę z twarzy, i rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje. - Ciebie zauważy każda kobieta od lat dziewięciu do dziewięćdziesięciu. - Z zadowoleniem obserwowała

rumieniec zalewający jego twarz. - Czy będziesz wolny jutro wieczorem? Musimy porozmawiać.

Zamierzała wprawdzie odwiedzić go dzisiaj, ale po tej akcji oboje powinni dojechać do siebie.

- Mogę przyjechać do ciebie około wpół do ósmej? - spytał uprzejmie, prostując się niczym przed plutonem egzekucyjnym.

- Jeśli nie będę potrzebna gdzie indziej. - Uśmiechnęła się również uprzejmie i wysiadła z karetki.

O wpół do ósmej wieczorem następnego dnia udało się jej wziąć kąpiel i umyć włosy bez wybiegania do telefonu.

Zastanawiała się właśnie nad uczesaniem, kiedy niestety rozległo się znajome brzęczenie.

- Wypadek drogowy. Tylko jeden pojazd. Jedna osoba ranna i uwięziona we wraku auta.

Okazało się, że wypadek miał miejsce dalej, niż Sally kiedykolwiek dotarła: na drodze, która wiała się wśród żywopłotów i nasypów.

Policjant przekazał jej szczegóły wypadku.

- Pasażerka jest przytomna, ale doznała obrażeń kończyn dolnych. - Zerknął do notesu. - Zjechała z drogi i uderzyła w betonowy słup.

Samochód się obrócił i zsunął do rowu.

Sally podeszła do auta.

- Jestem lekarzem. W którym miejscu odczuwa pani największy ból?

Gdy strażacy rozmontowywali drzwi od strony kierowcy, Meg Royston opowiedziała Sally o awanturze z mężem, po której postanowiła wyjechać do przyjaciółki.

- Nie powinnam siadać za kierownicą - łkała, czekając, aż zadziała środek przeciwbólowy. - Mogłam przecież kogoś zabić, a nie tylko skasować samochód.

- Jak to się stało? Tu jest całkiem prosty odcinek drogi.

- Płakałam i nie widziałam, jak jadę. To była straszna awantura i Janey tak okropnie się przejęła.

- Janey to pani córka?

- Tak. Chciałam ją zabrać ze sobą, ale on, Derek, mi nie pozwolił. Jak to dobrze, że jej nie wzięłam. - Strażacy wyjmowali już drzwi. - Gdyby tu siedziała, na pewno by zginęła.

Wkrótce potem karetka odwiozła ją do szpitala.

- Zostało tylko sprzątanie - zauważył jeden z sanitariuszy, gdy Sally szła do swojego auta. - Zaraz przyjedzie pomoc drogowa, ściągną wrak i niedługo nie zostanie tu ani śladu...

Sally pożegnała go, otworzyła drzwi i wypuściła Amber. Pies przez dłuższą chwilę biegał tam i z powrotem, aż znalazł odpowiednie miejsce, po czym zamierzał wrócić do Sally. Zatrzymał się jednak w pół drogi i podniósł uszy, jakby usłyszał coś ciekawego.

- Amber, chodź tu! - Pies nie drgnął. Sally ruszyła w jego stronę zdziwiona takim zachowaniem, gdy zaczął szczekać na rozbity samochód.

- O co ci chodzi? Nie lubisz wraków? — Poczula swąd i z przerażeniem pomyślała, co mogło spotkać pasażerkę.

Panią Royston czekało wprawdzie kilka miesięcy udreki, ponieważ miała złamaną kość udową i prawdopodobnie pęknięcie miednicy, ale najważniejsze, że będzie żyła.

- Amber! Wracaj, bo cię ten samochód przygniecie! Pies odpowiedział jej gwałtownym ujadaniem, jakby domagał się, żeby go wpuszczono do środka.

- Czego on chce, pani doktor? - zapytał ktoś w mroku. - Mysz znalazł czy co?

Nagle Sally doznała olśnienia.

- Chodźcie tu! Tam jeszcze ktoś jest!

- Niemożliwe! Przecież powiedziała, że jechała sama! -odkrzyknął ktoś inny.

- To może być jej córka! - Sally zbiegała do rowu, w którym zarył się tył auta. - Mogła się tu schować bez wiedzy matki!

- Chryste panie!

- Janey!!! Słyszysz mnie, Janey? Powiedz, gdzie jesteś! Nikt się nie odzywał.

- Amber! Gdzie ona jest? Szukaj, szukaj!

Pies posłusznie wskoczył do środka samochodu, po czym wepchnął się wśród pogruchotanego żelastwa na tylne siedzenie.

- Gdzie jest dziecko? - Sally zaglądała przez boczną szybę, aby sprawdzić, czy nie leży na podłodze za przednimi fotelami.

Amber drapała tylne siedzenie, jakby chciała dostać się głębiej.

- Musi być w bagażniku. Możecie podnieść samochód na tyle, żeby dało się go otworzyć?

- To trochę potrwa. Przez ten czas niech jej pani powie, co mamy zamiar zrobić, żeby się nie przestraszyła.

Sally przykucnęła, czując, jak jej stopy zanurzają się w mazi z benzyny i błota na dnie rowu. Znowu poczuła swąd. Czy nigdy nie uda się jej ładnie wyglądać w obecności Luke'a?

- Janey, słyszysz mnie?

- Ta-ak...

- Zaraz cię stąd wyciągniemy. Nic ci się nie stało?

- Mam guza na głowie i chyba mi leci z niego krew. -Dziewczynka głośno pociągnęła nosem. - I jestem strasznie potargana. Włosy mi się lepią.

- Nie przejmuj się tym, skarbie. Zrobię ci opatrunek. Jestem lekarzem.

- Pani doktor.

- Słucham?

- Czy mamusia... ? Czy coś jej się stało? Czy ona... ?

- Mama wyzdrowieje, Janey. Ma ranę w nodze, ale karetka już ją zabrała do szpitala i wkrótce wszystko będzie dobrze.

Kątem oka zauważyła, że podjeżdża następna karetka. Przed wrakiem ustawiono podnośnik. Trwało zaczepianie lin wyciągarki.

- Pani doktor.

- Tak?

- Strasznie tu śmierdzi.

Sally nabrała powietrza w płuca.

Nagle zdała sobie sprawę, że zapach, który czuła już wcześniej, zamiast słabnąć, przybrał na sile. Był to smród tłęcej się instalacji elektrycznej.

- O Boże! Amber, wychodź! - Pies opuścił ogon, ale tym razem posłuchał polecenia. - Siad. Pilnuj. - Postawiła obok niego swoją torbę.

- Ogień! - krzyknęła przez ramię. - Instalacja się pali! - Wsunęła się do wnętrza samochodu.

- Sally, wychodź stamtąd! Co ty wyprawiasz?!

Głos Luke'a aż kipiał wściekłością, ale dobrze było wiedzieć, że jest w pobliżu.

- Przynieś coś, żeby wyciągnąć to oparcie!

- Kobieto, wyłaź stamtąd!!! — ryknął. - Zostaw to fachowcom!

- Nie ma na to czasu, Luke. Poza tym nikt oprócz mnie tu się nie wciśnie, a samochód stoi w benzynie, więc przestań krzyczeć i mi pomóż.

Samochód zakołysał się, gdy Luke wepchnął się do niego z długim metalowym prętem.

- Trzymaj. Zaczep koniec o oparcie i spróbuj wyjąć je z zaczepów.

Posłuchała go, lecz chyba nie wystarczyło jej sił.

- Jeszcze raz. - Leżał w poprzek przedniego siedzenia.

- Jak już zahaczysz, pociągniemy razem.

- Już! - sapnęła, kątem oka obserwując pasemko dymu.

- Teraz! - Usłyszeli trzask.

- I jeszcze raz! Zahacz w innym miejscu i ciągnij.

- Gotowe.

- Tym razem musi puścić... - rzucił Luke i rzeczywiście oparcie przesunęło się o kilkanaście centymetrów.

- Janey, przeciśniesz się tędy? Tak będzie szybciej. Ponad oparciem ukazała się dziecięca rączka. Sally poklepała ją, by dodać dziewczynce otuchy.

- Wyłaź, skarbie. - Zerknęła za siebie na pasmo dymu wydobywające się z popękanej tablicy rozdzielczej. -Czeka już na ciebie karetka, którą pojedziesz do tego samego szpitala co mama. Świetnie ci idzie.

Wychodzisz jak pasta z tubki. - Chwyciła dziewczynkę pod rękę i podała Luke'owi.

- Zabieraj ją! - rozkazała w chwili, gdy z tablicy buchnął płomień.

- Ty też wychodź, Sally. Nie grzeb się!

Gramoliła się tyłem w stronę wyjścia, gdy z tablicy buchnął snop iskier niczym fajerwerk.

- Luke! - Zakrztusiła się. - Ratunku! Nie mogę wyjść!

- Zasłoń twarz!

Jego głos górował nad hukiem pożaru. Dym zgęstniał do tego stopnia, że Sally nic nie widziała, a na dodatek coraz trudniej było jej oddychać, w porę jednak wtuliła głowę w kołnierz kurtki, aby uniknąć uderzenia strumieniem wystrzelonym z potężnej gaśnicy.

- Daj rękę, Sally! - zawołał i jego mocne dłonie wyciągnęły ją z płonącego samochodu.

Dotarła do domu po wpół do dziesiątej. Luke zawiózł Janey do szpitala, więc jeszcze sporo czasu zajmie mu przygotowanie sprzętu dla następnej zmiany.

- Jestem wykończona - powiedziała sama do siebie. Wysiadając zobaczyła fragment swojego odbicia w lusterku i skrzywiła się. - I na dodatek śmierdę.

Przede wszystkim jednak najpierw nakarmiła Amber - samymi smakołykami - w nagrodę za jej pomoc, a dopiero potem udała się do łazienki. Zmyła z włosów zapach spalenizny, owinęła głowę ręcznikiem i

z westchnieniem ulgi zanurzyła się po samą szyję w wodzie, - Czy zmieści się tu jeszcze jedna osoba?

Głos Luke'a tak ją zaskoczył, że o mało nie zanurkowała.

- Luke? Co ty tu robisz?! Myślałam... Co to jest?! Zamknął drzwi i z zielonej, charakterystycznej butelki napełnił dwa kieliszki.

- Proszę uprzejmie. - Podał jej kieliszek, a butelkę postawił na taborecie obok wanny.

Szampan? - Chciała zobaczyć etykietkę, lecz natychmiast o tym zapomniała, widząc, że Luke się rozbiera. -Luke! - pisnęła.

- Owszem, szampan, ale nie spiesz się. Poczekaj, aż wejdem i wtedy wypijemy go razem.

- Chcesz tu wejść? Luke, co to znaczy?

- Mała uroczystość: - Delikatnie stuknął jej kieliszek swoim. Rozległ się cichy brzęk. - Za naszą pomyślność - powiedział półgłosem, patrząc jej w oczy.

- Za naszą pomyślność - powtórzyła wpatrzona w niego. Tym razem jego spojrzenie było inne.

- Posuń się. Zajmujesz całą wannę.

Bezwiednie przesunęła się do przodu, mimo że jeszcze nigdy z nikim nie dzieliła wanny.

- Och, Sally. - Przyciągnął ją do siebie. - Dzisiaj wieczorem bałem się, że cię stracę.

- I dlatego ten szampan?

- Trochę. Częściowo z powodu uratowania małej Janey, ale przede wszystkim chciałem ci podziękować za cierpliwość.

- Dlaczego? - Próbowała odwrócić się, by widzieć jego twarz, ale wanna okazała się za mała. - Jeszcze nawet nie rozmawialiśmy.

- W pewnym sensie już nie musimy, ponieważ od wczoraj jest inaczej. Zmieniłem się, ponieważ powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Ale sam twierdziłeś, że to jest nieistotne.

- Myliłem się. Zrozumiałem, ile to zmienia, dopiero gdy przyłapałem się na tym, że zbieram informacje dotyczące możliwości unieważnienia małżeństwa w sytuacji, kiedy nie wie się, czy z kimkolwiek brało się ślub, a nawet nie wiadomo, kim się jest.

- O, Luke... - W jej oczach zalśniły łzy szczęścia. - To może ciągnąć się nawet całymi latami, ale na ciebie warto czekać. - Oparła głowę na ramieniu i pocałowała go w podbródek. - Miałam ci powiedzieć, że taka jest moja decyzja.

Objął ją mocno.

- Au! Jakie to zimne! - zawołała, gdy Luke niechcący oblał ją szampanem.

- Cholera! Wcale nie jest tak romantycznie, jak miało być - mruknął, odstawiając kieliszki na taboret. - Kończysz już tę kąpiel? - Polał jej ramię ciepłą wodą, żeby spłukać lepki szampan.

- Prawdę mówiąc, weszłam do wanny chwilę przed tobą:

- Luke nadal polewał ją wodą, aż zniknęła piana. Kiedy Sally zdała sobie sprawę z tego, że jest teraz naga, poczuła znajomy szum w uszach.

- Luke? - zapytała nieśmiało.

- Ciii. Wszystko się ułoży. - Pocałował ją w ramię. - Uwaga, wychodzę. - Owinał się ręcznikiem. - Ty też.

- Luke, wołałabym...

- Wychodź, bo rozmiękniesz. Musimy porozmawiać. Podjąć decyzje.
Jaka ty jesteś piękna...

Zawinał ją w ręcznik i wziął na ręce.

- Jeżeli mamy rozmawiać, to może byłoby lepiej... — zaczęła, gdy niósł ją do sypialni, lecz nie skończyła, bo na ustach poczuła jego wargi.

Stopniowo pieszczoty przeistoczyły się w namiętność i w końcu Sally poddała się im z całą ufnością. Gdy ich ciała stopiły się w jedno, Luke znieruchomiał, odkrywając jej ostatnią tajemnicę.

- Przepraszam, nie wiedziałam, jak ci powiedzieć, że ja nigdy... że Brian nie chciał.

- Przepraszasz mnie? Za co?! Dzięki tobie poczułem się jak król. -
Całował ją gorąco, aż chwilowy ból pochłonęła nowa fala namiętności.

Leżała w jego ramionach i zastanawiała się nad brakującym elementem układanki, który pozwoliłby jej zobaczyć cały obraz.

Luke poruszył się i wtedy pojęła, o co jej chodziło. Odwróciła się w jego stronę.

- Przypomniałeś sobie, prawda? - szepnęła.

- Tak. - Uśmiechnął się szeroko z niezwykłą dla niego łatwością. -
Skąd wiesz?

- Powiedziałeś mi. - Zaśmiała się, widząc jego niedowierzanie. - Nie wczoraj. Tego wieczoru, kiedy się nie kochaliśmy.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, więc jak mogłem ci powiedzieć?

- Oświadczyłeś, że dopóki nie będziesz miał pewności, że nie jesteś z nikim związany, honor ci nie pozwala nikogo kochać.

- Nie dość, że piękna i pociągająca, to jeszcze bystra. - Zmienił ton. -
Odzyskałem pamięć, kiedy zobaczyłem cię w tym płonącym aucie.

- Nie mów, jeżeli to zbyt bolesne.

- Muszę. To część mojej przeszłości. Chcę, żebyś ją poznała.

- Czy mogę najpierw o coś zapytać? - Ogarnęła ją niepoohamowana ciekawość. - Czym się zajmowałeś przed wypadkiem?

Milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się tajemniczo.

- Myślę, że jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zachowam tę informację na sam koniec. Podoba mi się taka atmosfera napięcia.

- Niech ci będzie. To twój sekret. Zrobiła zawiedzioną minę.

- To jest jedyny przyjemny sekret, jaki ci wyjawię - powiedział ze smutkiem. - Reszta.

- Od czego zaczniesz?

- Byłem zaręczony. Pracowaliśmy razem i wydawało się nam, że wiele nas łączy. Sandi była Amerykanką, no, pół Amerykanką, pół Angielką. Ponieważ jej rodzice się rozwiedli, raz mieszkała z ojcem, kiedy indziej z matką. Niektórzy wyrastają w takim układzie na osoby stanowcze i samodzielne. Sandi jednak była słaba, szukała wsparcia i zawsze chciała być w centrum zainteresowania. Niestety, za późno zdałem sobie z tego sprawę.

- Gdzie pracowałeś, kiedy się poznaliście?

- W Londynie. Ale postanowiłem zmienić pracę i byłem już umówiony na rozmowę z nowym pracodawcą. Było to coś, na czym mi naprawdę zależało. Dzień przed tą rozmową Sandi stwierdziła, że stęskniła się za Ameryką i zaproponowała, żebyśmy tam poszukali pracy. Nawet już nas umówiła na kilka rozmów, zarezerwowała bilety. Wszystko to za moimi plecami... niemal do ostatniej chwili. - Popatrzył na Sally

rozżalony. - Nawet odwołała moje umówione spotkanie. Powiedziała im, że otrzymałem lepszą propozycję!

- I co ty na to?

- Było już za późno walczyć o tamtą posadę. Powiedziałem jej, że może sama wracać do Ameryki, a na mnie niech nie liczy. Siedzieliśmy wtedy w restauracji pełnej gości, mimo to rzuciła mi pierścionek i wybiegła...

- Ale...

- To była jej ulubiona metoda: żeby coś osiągnąć, lubiła wprawiać ludzi w zakłopotanie, ale mnie zrobiła to wtedy po raz pierwszy. Wróciła chwilę później z prośbą, żebym zawiózł ją po jej bagaże, a potem na lotnisko. Przedtem zadzwoniła do matki, z którą umówiła się na lotnisku w Ameryce. Matka nie miała powodu niepokoić się o mnie, ponieważ wiedziała, że zerwaliśmy zaręczyny. Poza nimi, nikt nie mógł mnie szukać. - Sally poczuła, że drżą mu ręce. - To się stało, kiedy wiozłem ją na samolot. Prosiła, płakała, jednym słowem usiłowała zmusić mnie, żebym zmienił zdanie. W końcu zaczęła krzyczeć i złapała kierownicę... - Wziął głęboki oddech. - Przejeżdżaliśmy akurat przez skrzyżowanie, o tej porze dnia pełne samochodów i ludzi.

- O, Luke... - Współczuła mu, pojmując, jak wiele bólu będzie musiał zapomnieć.

- Samochód był poważnie uszkodzony i stanął w płomieniach. Usiłowałem ją wyciągnąć, ale mnie odpychała, bo chciała zabrać torebkę, w której miała bilety i pieniądze. Ostatnie, co pamiętam, to ogłuszający huk i potworny ból.

- Nic dziwnego, że twój mózg nie chciał tego pamiętać.

- Ale gdyby w życiu nie było żadnych komplikacji, ominęłyby nas przeróżne wspaniałe rzeczy.. Gdyby nie ten zakręt w moim życiu, mógłbym cię nigdy nie spotkać. - Ujął jej twarz w dłonie. - Wyjdiesz za mnie? - Patrzył jej w oczy. - Kocham cię nad życie. - Delikatnie musnął jej wargi.

- Ja cię też kocham. - Przyciągnęła jego głowę, oddając mu pocałunek.

- Czy to ma znaczyć, że tak? - Uśmiechnął się.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, kto zostanie moim mężem.

- To nazwisko jest dla ciebie takie ważne? - zdziwił się. -

Prawdopodobnie mogę wybrać jedno albo drugie... w tej sytuacji. Powiedz mi, co wolisz: Luke czy Lucas?

- Lukas?

- Tak brzmiało moje nazwisko. Zapewne podświadomie coś się przebiło przez amnezję. Nazywałem się Adam Lucas. Czy to istotne?

- Nie - przerwała mu. - Najbardziej mnie interesuje twoja praca, nie twoje nazwisko.

- A jak ci się nie spodoba, to odmówisz mi swojej ręki?

- Nie ma mowy. Pielęgniarka czy plantator epiphyllum, Luke Nemo czy Adam Lucas, nieważne. Kocham cię.

- Co myślisz o pediatrze? Też się zaczyna na pe?

- Jak się cieszę!!! Nie wyobrażam sobie, w czym mógłbyś być lepszy!

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. Upłynie sporo czasu, zanim to wszystko da się uporządkować.

- Nie szkodzi. - Przytuliła go mocno. – Najważniejsze jest to, że odzyskałeś pamięć i że możesz zacząć zapominać o tym bólu i niepewności.

- A na dodatek znalazłem ciebie. Możemy teraz razem budować nowe życie i nowe wspomnienia.

RS